№ 5. Warszawa, dnia 29 (17) Stycznia 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ŹRÓDŁO NIEPOKOJU.

Kto niecierpliwie szuka wyjścia z labiryntu najsprzeczniejszych doniesień politycznych o „utrwalonym pokoju" i „groźnej wojnie," ten nie uchwyci żadnej nici, któraby się natychmiast nie przerywała i nie plątała z innemi, biegnącemi w kierunkach najróżnorodniejszych. Taki chaos dążeń, taka wrzawa nawoływań i ostrzegań, taki zamęt, jaki rzadko się zdarza nawet w skotłowanej Europie. Jej nastrój zmienia się już nie z dnia na dzień, ale często wieczorowy kłóci się z porannym. Zaledwie telegraf i gazety zdążą roznieść po świecie jakąś wiadomość uspokajającą, natychmiast z kąta półurzędowego wypada inna, która głosi burzę. Zapewnieniom ministrów, uciszających trwogę, przeczą odgłosy pospiesznie a tajemnie prowadzonych uzbrojeń; naodwrót, wywodom dziennikarskim, usiłującym zatamować popłoch, przeczą oświadczenia ministrów, napomykających o „czarnych punktach."

Mimo całej wszakże złożoności tych wirów, nie trudno w nich dostrzedz jedną rękę, tę samą, która jawnie lub skrycie porusza wszystkiemi sieciami wielkiej intrygi dyplomatycznej — rękę niemiecką. Uważniejsze rozpatrzenie i zszeregowanie wypadków ostatniej fazy ukaże nam tę wspólną między nimi spójnię. Bo przypomnijmy sobie tylko, jak się rozwijał kłębek dręczących niepokojów. W zatargu bułgarskim, w którym ukryły się sprężyny interesów niemal całej Europy, Niemcy, usunąwszy się na bok, wypchnęły Anglię i Austryę przeciwko Rosyi. Gdy ta ostatnia zaciążyła ku Francyi, ks. Bismark naprzód wyzyskał tę kombinacyę na korzyść swego planu wyzwolenia się od parlamentu i podniósł myśl podwyżki liczebnej wojska oraz 7-letniego dlań budżetu. Pierwotnie projekt ten gazety pruskie uzasadniły potrzebą wzmocnienia „dwu frontów," wschodniego i zachodniego, ze strony Rosyi i Francyi. Tymczasem gdy te dwie strony zaczęły istotnie zbliżać się ku sobie, kanclerz, którego całą pracą dyplomatyczną jest tworzenie sojuszów przyjaznych i rozbijanie wrogich, uczuł nagle życzliwość dla Rosyi, czyli odjął swemu projektowi wobec sejmu Rzeszy jedną nogę, a państwo uwolnił od jednego „niebezpieczeństwa" — wschodniego. Pozostało tylko zachodnie — Francya. Należało więc je odmalować możliwie najczarniej, ażeby wystarczyło za dwa, należało przecenić i przechwalić siły przeciwnika, natchnąć go dziką zemstą, przypisać mu drapieżność, okrucieństwo i gotowość do natychmiastowego napadu. Ten cel miały mowy Bismarka w parlamencie, który wszakże, posiadając większość doświadczoną w tych fortelach, nie dał się nastraszyć i przyznał żądane pomnożenie armii tylko na lat trzy. Rozwiązano niekarną Izbę i nakazano nowe wybory. Pod jakiem hasłem? Trzy lata zamiast siedmiu, zwłaszcza że konstytucya wymaga uchwał corocznych, że takie coroczne uchwały nigdzie nie paraliżują wojskowej zdolności państwa — to godło do walki wyborczej za słabe. Trzeba więc dalej nakładać czarne barwy na obraz stosunków międzynarodowych, trzeba bić w bęben „niebezpieczeństwa," trzeba przyprawiać coraz dłuższe kły i pazury Francyi. Ponieważ zaś następny sejm wyjdzie z urn dopiero przy końcu lutego, aż do tego czasu więc wszystkie narzędzia i organy rządu niemieckiego muszą budzić trwogę. I rzeczywiście budzą; że zaś jej źródła nie są dla bystrzejszych oczu zasłonięte, przekonywa o tem sama prasa niemiecka. „Okazuje się coraz bardziej — pisze *Frankf. Ztg* — że pokojowy obraz stanu Europy, nakreślony w ostatnich mowach kanclerza, jest niewygodny zarówno dla zwolenników projektu wojskowego, jak i dla rządowych propagatorów wyborczych. Postępowanie większości sejmu łatwiej obciążyć podejrzeniami, utrzymując umysły w obawie blizkiej wojny. Dla osiągnięcia tego szlachetnego celu niejedno jeszcze będzie zrobione do dnia wyborów, a praca już się rozpoczęła. W rozmaitych pismach rządowych spotykamy wieści o zamierzonych sposobach ubezpieczenia siły wojennej i mobilizacyi, zwłaszcza przez zakaz wywozu koni. Inne znowu dzienniki donoszą, że rząd francuski zakupił wielką ilość desek i bali dla budowania na granicy baraków wojskowych. Organ kanclerza powtarza tę wiadomość na wydatnem miejscu i urzędowym drukiem, dodając: „Nie ulega przeto żadnej wątpliwości, że Francya ściąga na granicy większe masy wojska, aniżeli zwykle mieści się tam w twierdzach i garnizonach." Telegraf urzędowy natychmiast rozpowszechnił tę nowinę, której skutek nie zawiedzie. Znajdzie się dość łatwowiernych i bojaźliwych umysłów, które z takich doniesień wywnioskują bliski napad ze strony Francyi, mimo jasnej charakterystyki położenia politycznego, którą przedstawił kanclerz. Niepodobna wymagać, ażeby każdy tak dalece znał stosunki francuskie i wiedział, że Francya teraz mniej niż kiedykolwiek może nas zaczepić."

Umysłów naiwnych i niezłomnie wierzących w Bismarka jest tyle w Niemczech i po za niemi, że te strachy, siane gęsto rękami najmitów, wschodzą bujnymi plonami trwogi. Dla ludzi trzeźwych i krytycznych widocznym pozostaje fakt, że burza nie jest rzeczywistą, lecz sztuczną, zrobioną przez maszynistów teatralnych, a nakazaną przez reżysera. Mimo tłomaczeń i wyjaśnień, mimo zaglądania za kulisy, dreszcz obawy nie opuszcza prasy i społeczeństw, bo go potrzebuje ks. Bismark dla pożądanego wyni-

ku wyborów. Dopiero przy końcu lutego nakaże on ściągnąć chmury i zatrzymać grzmoty. Aż do tego czasu będziemy ciągle czytali niepokojące telegramy, wrzaskliwe artykuły, bajki o przygotowaniach wojennych, niskie kursy rubla i t. d. Cała zaś owa komedya nauczy nas tego sensu moralnego — jeśli go ktoś jeszcze nie zna— że gdy kanclerz niemiecki potrzebuje takiego warunku nawet dla wyborców, cała Europa musi drżeć, lękać się, trapić zmorami, ponosić straty ekonomiczne, rujnować się— po to jedynie, ażeby np. z urn wyszło trzech narodowo - liberałów lub konserwatystów więcej, niż poprzednio. Oto wymowny dowód, do jakiego stopnia ks. Bismark zawładnął Europą i jak wszystkie jej interesy kręcą się w planetarnym systemie niemieckim. Nie chcemy twierdzić, ażeby w łonie świata starego nie było lawy gotowej do wybuchów, żywiołów powodujących wstrząśnienia, sporów przytłumionych chwilowo, a wymagających rozcięcia, ale wszystko to milknie lub słabnie wobec woli tego potężnego i wszechwładztwem obdarzonego człowieka. Najmniejszy jego gniew odbija się echem w najdalszych stronach lądu europejskiego. On sam zapewnia spokój, on rzuca trwogę; gdy on zechce, sen może na długo ulecieć z powiek narodów. Na jego ustach spoczywają wyroki świata. I wobec tego Jowisza mówi się jeszcze o Europie, którą on, jak bóg grecki, nie zmieniając się w wołu, dawno uniósł i porzucił!

WIDOKI WOJENNE.

Gdy do koła brzmią pobudki wojenne, odezwały się one i w dwóch państwach, posiadających jeden na uwagę szczególną zasługujący przywilej. Starożytność państw, opatrzonych przywilejem podobnego rodzaju, nie znała. Polega on na nietykalności, poręczonej przez traktaty międzynarodowe a uwarunkowanej tem, ażeby państwa uprzywilejowane nie wtrącały się do żadnej poza ich obrębem czynności politycznej. Niech świat pęka, wali się, pali; niech się francuzi, niemcy, włosi, anglicy wymordowują wzajemnie; niech archanielskie, a nawet i chińskie armie przybywają dla zaprowadzenia ładu w niezdolnej do ładu Europie: one winny na to wszystko patrzeć obojętnie. To ich obowiązek, to ich prawo — ale tylko w stosunkach zewnętrznych. Państwa rzeczone myśleć i myśli swoje, jak się im podoba, wyrażać mogą. Od czynu jeno im wara. Gdyby na granicy ich wojna się toczyła, nie wolno im brać w niej udziału pośredniego nawet, takiego, jak dostarczanie stronom wojującym uzbrojenia, amunicyi, koni, żywności. We względzie tym ustępstwo jedyne zrobione zostało w czasach ostatnich dla szpitali, a to dzięki stowarzyszeniu Czerwonego krzyża, które wykołatało uznanie rannych za ofiary, obchodzące ludzkość. Coś podobnego powiedzieć by można i o przywileju, nadanym dwóm państwom, wykluczonym z „koncertu“, sprowadzającego regularnie kłótnie i bójki, narażające na guzy, kalectwo i śmierci gwałtowne tysiące istot Bogu ducha winnych. Przywilej ich obchodzi snać ludzkość. W rzeczy samej nie przyszło — jak się to mówi—bez kozery do tego, że Belgii i Szwajcaryi przyznano dobrodziejstwo neutralności, poręczającej dla nich, o ile one warunków niewtrącania się do spraw zewnętrznych dotrzymają, niemieszanie się do spraw ich wewnętrznych, jako też nietykalność ich granic. Pod egidą tą dwa te państwa, jedno lat pięćdziesiąt siedem, drugie lat siedemdziesiąt dwa, przebyły w spokoju głębokim. Nie wyszły na tem źle. Ale to do rzeczy nie należy. Chodziło nam jeno o to, ażeby wytknąć wyjątkowość położenia dwóch państewek, wyjątkowość odgrywającą całe ważną rolę w wypadkach przysposobianych przez przewodniczących narodom mędrców.

Gdzie leży Belgia, gdzie Szwajcarya, wie z nas każdy z mapy gieograficznej, z której oraz dowiedzieć się łatwo o kierunku łańcucha górskiego, zwanego Wogezami. Zestawione razem Belgia, Wogezy i Szwajcarya stanowią pomiędzy Niemcami a Francyą rozgraniczenia, posiadające tę własność szczególną, że nieprzystępne są one dla szyków orężnych. Belgię i Szwajcaryę unieprzystępniają traktaty, Wogezy—właściwości gruntu. Trzy te przeszkody nie tworzą linii ciągłej; istnieją na niej dwie przerwy, jedna mała, druga wielka — mała wciska się pomiędzy Szwajcaryę a południową gór wogezkich kończynę, wielka idzie od kończyny tychże gór północnej do granicy belgijskiej. Przez nie stykają się z sobą mocarstwa, których stosunek wzajemny nadaje panującym obecnie w Europie stosunkom ów akcent naprężenia strun wszystkich, jakiego nadaremnie szukalibyśmy w historyi wieków upłynionych.

O akcencie tym — słówko. Charakteryzuje on czasy nasze.

Znajdujemy się wobec wojen minionych i wojen oczekiwanych. Stan ten nie jest osobliwością żadną. W bliższej i dalszej przeszłości powtarzał się on ustawicznie, ale po wojnie każdej następowało uspokojenie, które było rzeczywistem. Rozpuszczano wojska i leczono rany. Na tem lata upływały. Leczenie ran polegało szczególnie na zmniejszeniu wydatków na uzbrojenia, co pozwalało ożyć pracy ludzkiej. Rozwijał się ruch przemysłowy i handlowy tak długo, aż ambicyjka jakaś tu lub owdzie strzeliła i zawichrzenie wywołała. Tak bywało dawniej, kiedy zabory poczytywano za rzeczy prawowite i sprawiedliwe—za *gesta dei*. We względzie tym atoli zaszła zmiana wyobrażeń — wystąpił żywioł, który się upomniał o prawowitość i sprawiedliwość dla siebie i rozciągnął nad zaborcami kontrolę. Wysunęły go przyczyny rozliczne, których szukać należy: w wojnach Napoleońskich, w rozkładzie państwa Ottomańskiego, w rewolucyi wielkiej francuskiej, jako też w tej ogólnej przyczynie, którą nazywamy postępem. Z niej wykwitła zmiana wyobrażeń o prawowitości i sprawiedliwości zaborów i w chwili właśnie, kiedy się ona w pojęciach ugruntowała, jedno z mocarstw, odgrywające w koncercie europejskim rolę bardzo skromną, do zaborów się skwapliwie pogarnęło. Mowimy o Prusach. Odegrały one w dziejach czasów ostatnich rolę bardzo ważną dzięki kondemnatom zaborczym, jakie raz po raz na siebie ściągały. O Prusach powiedzieć można: *l'apetit vient en mangeant.* W roku 1864 zagarnęły kawałeczek Danii; w roku 1866 zabrały posiadłości własnym Rzeszy niemieckiej spółczlonkom; w r. 1870 pokusiły się o prowincye państwa ościennego, z którem niebezpiecznie było się mierzyć i—sztuka się udała. Ale ze sztuk tych każda była pogwałceniem prawa i sprawiedliwości, pojmowanych w duchu postępu. Ani duńczycy, ani hanowerczycy i hessy, ani lotaryńczycy i alzaci nie życzyli i nie życzą sobie dobrodziejstw pruskiego panowania, nachodzącego ich nagle nakształt w upiora zmienionego nieboszczyka, pogrzebanego

---

POEZYA.

GAWĘDA WESOŁA

w dni słotne do czytania nader pożyteczna.

I.

Długich trzysta lat z okładem
Djabeł błąkał się strapiony:
Truła go chęć zemsty jadem,
Gryzł ze złości własne szpony,
Klął okrutnie, łajał w „mutter,“
Miecąc iskry ślepiem wrażem,
Kiedy wspomniał, jak go Luter
Palnął po łbie kałamarzem.
To wspomnienie nawet we śnie
Biczowało mózg biedaka,
Bo nie rani nic boleśniej,
Nad obelgę od rodaka...
Dotąd od tego pocisku
Czuł w ciemieniu jakiś zamęt,
I plam kilka miał na pysku,
Które zrobił tam atrament.
Lecz nad pocisk i nad plamy
Bardziej ta myśl djabła truła,
Że się stał przedmiotem famy,
Jako cymbał i fafuła,
Co pozwala byle klechom
Tłuc na łbie swym kałamarze;
Stąd nie było końca śmiechom
Na piekielnych państw obszarze.
Sam Belzebub, gdy z raportem
Stanął bies przed jego tronem,
Tak się śmiał nad biednym czortem,
Aż ocierał łzy ogonem.
— Cha! cha!.. patrzcie!.. ach, szpicbube!
„Niedołęgo ty!.. verfluchter!..
„Tak cię lunął!.. na mą lubę —
„To zuch klecha!.. brawo Luter!
„Precz z przed oczu mych, mazgaju!
„Nie waż się pokazać nawet,
„Aż na niemcach, na ich kraju
„Pomścisz krzywdę swą wet za wet!“
Bies sfukany stulił uszy
I skurczywszy ogon kusy,
Z wielkim wstydem w djablej duszy,
Czmychnął z piekła dwoma susy.
Wyrok względnie był łaskawy,
— Sędzia w dobrym był humorze—
O cóż szło? Nie pokpić sprawy
I zmyć plamę na honorze.
Lecz mijały długie lata —
Z okolicy w okolicę
Djabeł tułał się wśród świata,
Darmo susząc mózgownicę.
Wszystkie władze swe umysłu
Wysilał w odwetu sprawie,
Lecz konceptu i pomysłu
Brak do szału wiódł go prawie.
Nieraz w złości bił się w ciemię,
Widząc siebie niedołęgą...
A tymczasem Lutra plemię
Rosło sławą i potęgą:
Lessing, Leibnitz, Schiller, Goethe
Zajaśnieli tam na czele,
Dając ziomkom swym podnietę
Sięgania po wyższe cele
I wskazując ideały,
Prawdy, piękna sieli ziarna.
Z nich kwiat wyrósł wybujały:
Idea humanitarna.
Niemiec łożył wielkie trudy,
By zaszczepiać ją dokoła —
I z uznaniem inne ludy
Pochylały przed nim czoła.
Djabła gryzło to niezmiernie,
Stał się kwaśny i ponury,
Złość bezsilna, zwątpień ciernie
Brały biesa na tortury;
Wyżółkł, wysechł od tej biedy,
Ogon mu wyleniał z szerści,
Pokaszliwał już niekiedy,
Jak suchotnik bliski śmierci.

* * *

W takim stanie, w tej niemocy,
Tułając się po bezdrożu,
Raz się pewnej ciemnej nocy
Nagle znalazł na pomorzu.
Usiadł sobie nad Bałtykiem,
Na wybrzeża wąskim pasku,

wieczorem tego dnia, w którym zaświtała doba dziejów nowożytnych. Upiór ów przysiadł ich. Sami oni zrzucić go z siebie nie mogą. Pomiędzy nimi wszakże znajdują się tacy, co mają za sobą plecy. Takimi mianowicie są alzaci i lotaryngczycy. W tem tkwi racya, dla której Prusy, po każdej wojnie skończonej i po zaborze każdym, zamiast rozbrajać się, zbroiły się na nowo i na skalę coraz to szerszą, stosowaną do rozmiarów sił domniemanego przeciwnika, co by się mógł upomnieć o podeptanie prawa i sprawiedliwości. I tak: po zaborze Szlezwigu i Holsztynu szykowały się przeciwko nie zbyt przedsiębiorczej dyplomacyi europejskiej, po zaborze państw rzeszy— przeciwko posiadającej dyplomatyczne stosunki Austryi, po zaborze prowincyi fracuskich — przeciwko Francyi i Europie całej, Europie, dotkniętej zarówno w sferze stosunków dyplomatycznych, fermentujących w kadziach gabinetowych i politycznych, którym za arenę służy opinia publiczna. W takim rzeczy stanie Prusy zbroić się, zbroić i usiłowania całe na zbrojenie wytężać muszą. Hr. Moltke wyznał, że pięćdziesiąt lat minie, zanim umocnienie zaborów nastąpi. Wódz sił zbrojnych pruskich omylił się. Umocnienie nie nastąpi ani za lat sto a to dla tej przyczyny, że siła rzeczy stawia alternatywę taką: albo Prusy utracą co zabrały, albo poczynią zabory nowe, wymagające nowego umocnienia. Jeden z organów gadzinowych wystąpił z projektem rozbioru Francyi, jako ze środkiem, mającym na celu zapewnienie Niemcom spokoju. Projekty tego rodzaju stanowią specyalność pruską. Do czynności podziałowej w spółce z niemcami wezwane są: Włochy, Belgia i Hiszpania. Może do tego przyjdzie; zanim przyjdzie jednak, na Prusach, na Europie, na wszystkich stosunkach, na wszystkich państwach i narodach, na wszystkich ludziach, ciąży spodziewana, wyglądana i lada „dni dziesięć“ wyczekiwana pomiędzy Prusami a Francyą wojna.

Wojna ta stanowi to, co się technicznie, w języku dyplomatycznym nazywa węzłem sytuacyi politycznej. Do niej stosują się sprawy wszelkie. Ona i kwestyi wschodniej nadała ten obrót, co kwestyę tę na ostrzu noża postawił; gdyby bowiem nie ona, nie byłoby ani wojny 1877, ani traktatu 1878, ani tych, które w chwili obecnej pokój mącą i linoskokom dziennikarskim do popisów służą, kłopotów bułgarskich. Wojna owa wpłynęła nawet na dowcip ks. Bismarka i dlatego, że jest spodziewana, wyglądana i wyczekiwana, dokucza wszystkim razem i każdemu zosobna, dokucza tak dalece, że się już urabiać zaczyna pragnienie, mające na widoku wyjście z tej dla wszystkich nieznośnej niepewności jutra.

„Niechby się to już raz tak albo owak skończyło!“

Ażeby jednak pragnieniu temu zadość się stało, na zawadzie stoją wykazane we wstępie do pisania niniejszego przeszkody: neutralność Szwajcaryi i Belgii i Wogczy, tworzące linię przerywaną. Gdyby nie przerwy te, przyjśćby nie mogło do orężnego, pomiędzy czyhającymi na siebie sąsiadami, zwarcia, wobec którego Niemcy ze strony swojej, Francya ze swojej, przygotowały się na spotkanie zaczepne i odporne. Jak się przygotowały! Rozmiary przygotowań tak są wielkie, rozległe i groźne, że się wydają piękne, a przynajmniej zdumiewające. Ilość ludzi, przeznaczonych do stawania w szeregach, doprowadzoną została w każdem z tych państw do wysokości takiej, do jakiej nigdy w Europie całej nie dochodziła. Uzbrojenie we względzie burzenia doszło stopnia doskonałości najwyższego. Mobilizacya i sposoby transportowania szyków orężnych, jako też narzędzi niszczenia, zabezpieczone mają ułatwienia, pozwalające w przeciągu dni kilku gromadzić na danym punkcie, żywić i w ruchy wprawiać krocie żołnierzy, osłoniętych obronami, które, rozłożone w przerwach przeszkód granicznych, służą do uzupełnienia linij i pełnią funkcyę podwójną: zachęty i postrachu. Zachęcają one tego, w czyjem znajdują się ręku; trwożą przeciwnika. Francuzi, ukończywszy budowę i uzbrojenie fortec swoich, chętnieby niemców zaczepili, gdyby ich nie powstrzymywał wzgląd na Strasburg i Metz w pierwszej, Moguncya, Koblenz i Kolonia w drugiej linii, nie licząc fortyfikacyj, jeżących się na skrzydłach i w przerwach pomiędzy pięciu twierdzami. Niemcy ze strony swojej zrobiłyby względem Francyi toż samo, gdyby się przed niemi nie rozwijały: ze strony szwajcarskiej, na wstępie Belfort, dalej Montbeliard i Epinal, Besançon i Langres, ze strony belgijskiej zaś Toul, Verdun i Mézieres, Soisson, Laon i La Fère, wreszcie Lyon i Paryż. Wszystko to są warownie w tem szczególnie groźne znaczeniu, że za główne zadanie swoje mają uniemożliwienie przeciwnikowi ruchów i zadaniu temu odpowiadają; są to bowiem zarazem i fortece w znaczeniu dawniejszem i obozy oszańcowane w znaczeniu takiem, jakie przedstawiał Sewastopol (1854—56) i Plewna (1877—78). Są to z góry przysposobione pozycye bojowe. Obchodzić ich nie sposób bez wystawienia na ciosy uszykowanych w nich armij; obleganie zaś ich i zdobywanie byłoby ściąganiem sobie na kark odsieczy i ryzykowaniem się na bój w ogniu krzyżowym. Niemcy mogli w 1870—71 Metz, Strasburg i Paryż oblegać dlatego, że francuzi odpowiednich na odsiecz rezerw nie posiadali. Dziś się rzeczy zmieniły, ryzyko zolbrzymiało i ks. Bismark nawet hazardować się nie ośmiela, przekładając stan [napreżenia, który mu ręce krępuje, nad rozwiązywanie zadania, mającego na celu zapewnienie Niemcom spokojnego posiadania zaborów, dokonanych z nieodpowiedniem czasowi pogwałceniem prawa i sprawiedliwości. Ów wielki polityk, bystry dyplomata, niezrównany mąż stanu wytworzył impas, z którego sam wyjść nie umie. Zaplątał się i zaplątał wszystkich. Liczył na to, że się „francuzi w własnym sosie ugotują.“ Tymczasem oni zamiast się *ugotować*, *przygotowali*, przysposobili się do odparcia zaczepki i na sposobność czekają, wyglądają jej — skąd? — ze wszystkich stron, z których by się Niemcy w sprawę jaką dla nich kłopotliwą uwikłały. Stąd to wyszedł ów trójcesarskiego przymierza wynalazek, zbyteczny dla Anglii, szkodliwy Rosyi—Niemcom tylko jednym oddający przysługę, jakiej szuka architekt w podporach, gdyż postawił budowlę i nie obrachował należycie ani fundamentów, ani ścian. „Niemcy w przymierzu z Austryą i Rosyą są rękojmią pokoju.“ Pochwalił się tem tryumfator wielki; nie dodał atoli, że pokój ów sam przez się jest ciężarem do dźwigania trudnym, tak samo, jeżeli nie bardziej jeszcze, niż wojna. Pokój bez jutra, z zapasami niesłychanie kosztownych ze stali i śpiżu wyrobów, które, gdy pokój istotny nastanie, psu na buty się nie przydadzą. Pokój taki, jakiego, wedle Bismarka, Europa przez lat szesnaście dzięki cesarstwu zażywa, jest pokojem służącym za dowód, że Europa bez cesarstwa niemieckiego obchodzić się nie to może, ale potrzebuje. Do czego ono? Oto się na Wschodzie zawichrzyło — i co? Cesarstwo na przypadłość tę wymyślić nie umiało lekarstwa innego, jak septenat wojenny, wyzywający państwa inne, nie wyjmując tych, które słabość (Dania, Szwecya), ani tych, które neutralność (Belgia, Szwajcarya) broni, do potęgowania uzbrojeń. Taka to więc przydatność jego?

Rozpatrując się w przygotowaniach wo-

Zadumał się i patykiem
Od niechcenia dłubał w piasku...
Czy układał nowe plany,
Czy rozmyślał nad swym losem,
Dość, że tak był zadumany,
Iż nie spostrzegł, jak przed nosem
Jakiś jeździec niespodzianie
Prr!.. krzyknąwszy, konia wstrzyma
I przed nosem djabła stanie.
Djabeł zmierzył go oczyma,
Patrzy: własna jego żonka!
Włos rozwiany, w długiej szacie...
Ta nadobna amazonka
Przyjechała na łopacie.
Rumak parska, sapie, bryka
(Dobrej rasy to oznaki),
Lecz djablica dobrodzika
Zeskoczyła już z kulbaki,
Zbliżyła się (a w tym czasie
Koń-łopata głodny srodze,
Jął żreć piasek... niech się pasie
Po odbytej długiej drodze).
— „Mam cię wreszcie!.. Już lat trzysta
„Nie wyłażę prawie z siodła,
„Goniąc ciebie... Oczywista,
„Że mię zdradzasz, duszo podła!
„Trzysta lat za tobą pędzę!
„Gdzieżeś bywał, łotrze stary?
„Tak-żeś wierny swej przysiędze?
„Tak-żeś mi dochował wiary?
„Wszak się kląłeś na swe rogi,
„Że przez długą wieczność całą
„Nie porzucisz mnie niebogi,
„Cóż się z tą przysięgą stało?
„Pewno jakaś czarownica
„Tumani cię... głupi capie...
„Powiedz—gdzie ta ladacznica,
„Niechaj ślepie jej wydrapię!..“
Tu się wszczęły płacze, jęki,
Nawet spazmy, nawet mdłości...
Każdy zna te miłe „scenki,“
Kto ma żonę, co zazdrości.
Obcesowo napadnięty,
Uczuł małżeńskie okowy,
Lecz miał takie argumenty,
Użył tyle swej wymowy,
Tyle czułych pieszczot wreszcie,
Że po długim korowodzie
Stłumił fochy te niewieście.
Jak po długiej niepogodzie,
Po dniach dokuczliwej słoty,
Zawieruchy i zamieci,
Kiedy padnie promień złoty —
Zda się milszym, jaśniej świeci,
Tak i po małżeńskiej waśni,
Kiedy przyjdzie zgoda święta,
W duszach wtedy jakoś jaśniej,
Żywiej płoną sentymenta.
Więc i w sercach tego stadła
Zrobiło się jakoś czulej:
Ona na pierś mu upadła,
On ją głaszcze, pieści, tuli...
— „Widzisz mój mężulku miły—
„Szepcze żona—tyś już stary:
„Nie twe zdrowie, nie twe siły
„Brać rzecz taką na swe bary;
„Ot już trzysta lat się terasz,
„A coś zrobił? — Dowód świeży,
„Że mam racyę, mówiąc nieraz,
„Że nam syna mieć należy,
„Co cię w sprawie tej wyręczy;
„Młodemu się wszystko uda,
„Wierz mi luby! Wiek młodzieńczy,
„Młode siły robią cuda!
„Lecz tyś zawsze był nieczuły
„I do moich próśb nieskory.
„O! ileż mi chwil zatruły
„Ten twój chłód i twe upory!
„Nieraz w zapałów godzinie,
„Kiedy uczuć toń wezbrała,
„Ledwie wspomnę ci o synie,
„Ty zadarłszy ogon — drała!
„A mnie biedną rzucasz samą
„Na katusze czczych płomieni!..
„Ach! kto żony zrobić mamą
„Nie chce — to pocóż się żeni?!
Łeb schyliwszy zadumany,
Djabeł słuchał ją w pokorze,
Bo nie były czcze nagany,
Bo rzekł: „Ha! masz racyę może!
„Może słuszne twe utyski
„Na bezdzietność... O! jedyna,
„Pójdźże teraz w me uściski!
„Chcę być ojcem! chcę mieć syna!
Żółwie, pełznąc wzdłuż wybrzeży,
Przystanęły — i ciekawie

jennych we Francyi i Niemczech, przypuścić trudno, ażeby pomiędzy temi dwoma mocarstwami do wojny przyjść mogło; trudno bowiem wyobrazić sobie takiego Moltkego lub takiego Boulangera, coby się na zaczepkę odważył. Odpowiedzialność za wielka. Więc co? Pozostajemy pod ustawiczną groźbą wojny, ale mamy pokój — pokój niemiecki, *mit Trompeten und Skandalen* — dzieło wielkiego męża stanu. *Also...*

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z sejmu niemieckiego przeniósł ks. Bismark walkę z „nieprzyjaciołmi państwa“ do pruskiego. Mniejsza o to, co w tej Izbie stoi na porządku dziennym; właściwy przedmiot usuwa się na bok i obie strony mówią „przez okno“ do wyborców. Jest to najpewniejszy sposób agitacyi, gdyż wszystkie gazety powtarzają w głównej osnowie wywody posłów, a więc rozpowszechniają je po całym kraju. Kanclerz jest zręcznym, wie, w jakie struny uderzać, ale i jego przeciwnicy na cztery nogi kuci. Dla przerażenia wyborców, rzucili oni im przestrogę, że rząd zamierza z przyszłym sejmem przeprowadzić monopole (wódczany i tytoniowy), oraz otworzyć wrota reakcyi, zahamowawszy różne niewygodne dlań koła maszyny konstytucyjnej. Że to jest tajemnem pragnieniem ks. Bismarka, nie ulega wątpliwości, ale ponieważ nie chciałby teraz przed wyborami ujawnić swoich dążeń, więc gromi przeciwników, oskarża ich o kłamstwo i zmyślenie, wypiera się przypisywanych mu zamiarów, ale wypiera się tak, ażeby wszystkich okrętów za sobą nie spalić. Nie przestaje przytem „malować djabła wojennego na ścianie,“ pobrzękuje pałaszem, ukazuje różne „chmury,“ grozi wojną tak, jak gdyby ona przed progiem stała — słowem, używa wszelkich strachów dla pokonania opozycyi i odstręczenia od niej wyborców. Trzeba czytać jego mowy, ażeby pojąć, jaką poniewierkę znoszą ci przedstawiciele narodu. Gdyby to byli pachciarze i ekonomowie z dóbr księcia, nie traktowałby ich z większą wzgardą i złośliwością.

Naturalnie te gniewy, krzyki i pogróżki potężnego władcy karmią trwogę ogólną i odbijają się na stosunkach politycznych całej Europy, mimo pokojowych zewsząd zapewnień. Francya, która ma, według kanclerza, rzucić pierwszą bombę wojenną, przysięga, że o napadzie nie myśli; Anglia zachowuje milczenie kupieckie i tylko skrytą ręką mąci wodę, Austrya nawet z kolumn prasy węgierskiej składa przyjacielskie śluby, Rosya żadnych wystąpień zbrojnych nie zapowiada — a w Berlinie ciągle huczy grzmot niedalekiej burzy. Dodać należy, iż przebieg sprawy bułgarskiej stał się mniej ostrym. Deputacya, objechawszy Europę, zawinęła do Konstantynopola, gdzie na nią czekał p. Cankow, powołany tam jako przyszły członek rządu, uznanego przez wszystkie mocarstwa. Przewodnictwo w załagodzeniu sporu przyjęła na siebie Turcya, jako zwierzchniczka zbuntowanych, a podobno regencya, wybadawszy przez swych pełnomocników usposobienie dworów europejskich, postanowiła zaniechać dalszego oporu i poddać się konieczności. Według wieści, ks. Leichtenberski jest kandydatem do tronu bułgarskiego, skupiającym w sobie prawie powszechną zgodę, tylko Anglia domaga się, ażeby wprzódy był wybrany książę, a potem rozwiązano sobranie, Rosya zaś z innemi państwami żąda procedury odwrotnej. W każdym razie, ze strony półwyspu Bałkańskiego znowu nadbiegają wiadomości spokojniejsze.

Francya nie traci nigdy sposobności do bawienia się walką byków lub indyków. Teraz znowu dzienniki i stronnictwa wodzą się za czuby o gen. Boulangera, który ma głównie drażnić Niemcy swoją wyzywającą postawą. Jedni więc chcieliby go usunąć, drudzy widzą w nim przyszłego zbawiciela. Cała ta wrzawa jest tak mizerną, głupią, żakowską, powiedzmy otwarcie — francuską, że rozbierać jej nie warto. Oprócz modnisiów, zdechlaków i całej rzeszy, dla której Bogiem jest pięknie zawiązany krawat, Francya dziś nikogo nie zachwyca, a wielu oburza.

BADANIA NAUKOWE.

LUDOŻERSTWO *)

Najdawniejsze ślady kanibalizmu dadzą się odnieść do czasów przedhistorycznych. Człowiek epoki zamierzchłej, współczesnej mamutowi, trudnił się myśliwstwem, żywiąc się mięsem zabitych zwierząt i odziewając się ich skórą. Środki myśliwskie, którymi rozporządzał, były bardzo niedostateczne do pokonania olbrzymich zwierząt, a gdy polowanie nie dopisało i głód zapanował, nic naturalniejszego, że człowiek jaskiniowy stawał się antropofagiem; przecież do dziś zmusza do tego głód nawet ludzi oświeconych podczas oblężeń lub rozbicia się okrętu. Człowiekowi pierwotnemu, nieznającemu wielu uczuć i pojęć, które się stały dla nas drugą naturą, nie robiło to wielkiej różnicy, czy spożywał mięso zwierzęce, czy ludzkie, byle się tylko nasycił. A jak młotem kamiennym łupał kości zwierzęce, aby z nich szpik wydostać, tak samo rozbijał kości ludzkie, aby pokrzepić się ich mleczem. W jaskini namurskiej w Belgii znaleziono wiele kości ludzkich, zmieszanych ze zwierzęcemi, a po zbadaniu pierwszych okazało się, że wszystkie pochodziły z ciał młodzieńców, dzieci, lub młodych kobiet, nie było zaś żadnej należącej do starszych, z czego archeologowie wnoszą o wybrednym guście owych kanibalskich smakoszów. Resztki tego barbarzyństwa znajdujemy jeszcze w pieśniach i w podaniach ludowych u narodów, stojących na wysokim stopniu oświaty. Atreusz zabija synów Tyestesa, każe przygotować z nich pieczeń i podaje ją na półmisku ojcu, dolewając krwi utoczonej z synów do jego wina. Przypominam ucztę Polifema z Odyssei, gdzie jednooki wielkolud pożera towarzyszów bohatera razem z wnętrznościami. W podaniu pomorskiem poluje strzelec na kobiety, rzucając swoim pomocnikom kości ludzkie do ogryzania na dowód wdzięczności. W naszych baśniach zostały liczne ślady ludożerstwa — podania o upiorach, krew ludzką wysysających, o strzygach i zmorach, duszących dzieci, wreszcie o czarownicach, pożerających serca ludzkie. W Czechach krąży zabobon, że kto zje ugotowane serce człowieka, staje się niewidzialnym. Że podobne wyobrażenia, dowodzące istnienie kanibalizmu i ofiar ludzkich, są do dzisiaj powszechne w Rosyi, wykazał już Wojewódzki; polegają one najczęściej na wierze w siłodajną moc krwi ludzkiej, jako głównego pierwiastku życia. Na Szląsku cisnęli się do niedawna kupcy, zwłaszcza piekarze, do straconej, aby zamaczać w jej krwi ścierkę, która ściągać miała klientów.

Historycznych dowodów ludożerstwa dostarcza starożytność, a Herodot i Strabo

*) Richard Andree: *Die Anthropophagie.* Eine ethnographische Studie. Leipzig 1887. Dzieło odznaczające się niezwykłą erudycyą, a przytem głęboką krytycznością.

Dłużą szyjki z pod pancerzy,
Przypatrują się tej sprawie.
Rekin wytknął łeb z pod fali
I zdziwiony patrzy, słucha;
Zaskomlało coś w oddali,
Zaskrzeczała gdzieś ropucha;
W mroku roją się poczwary
Sowy, wiedźmy, wilkołaki,
Ponad głową czułej pary
Nietoperze tną zygzaki,
A z nadbrzeżnych czcin, badyli
Trup topielca wzrok wyszczerza...
Nigdy cudniejszej idyli
Nie widziały te wybrzeża!..

II.

A od brzegu niedaleko,
W karłowatym gąszczu choi,
Nad niewielką, mętną rzeką
Starożytny zamek stoi.
A w nim mieszka baron stary
Z swoją żoną baronową;
W życiu tej małżeńskiej pary
Jakoś pusto i jałowo;
Cała bieda, że bezdzietnie
Żyją z sobą — pragną dziecka,
Bo się na nich ród ich przetnie,
Uschnie gałąź ich szlachecka.
Choć się baron starał szczerze
I choć żona całą siłą
Popierała go w tej mierze —
Nic się im nie narodziło,
Z czego stadło to wzorowe
Miało waśnić się przyczynę:
Baron winił baronowę,
Ta zaś nań zwalała winę...
Lecz radzili sobie różnie
Na ten żywot niezbyt słodki;
Chcąc zapełnić jego próżnię,
Hodowali pieski, kotki...
To nad Biblią oparty
Przesiadywał baron rudy,
Wzrok utkwiwszy w księgi karty,
Szukał leków w nich na nudy;
A w przystankach, gdy wzrok boli,
Wszczynał z żoną sprzeczki, kłótnie,
I tak życie ich powoli
Pusto wlekło się i smutnie.
Dnia owego jakoś w zgodzie
Byli z sobą małżonkowie,
Czy że dzień stał na pogodzie,
Czy z przyczyny innej—kto wie?
Dość, że wziąwszy się pod ręce,
Wyszli użyć promenady,
A za nimi, na tasiemce
Kilka piesków biegło w ślady
I szedł lokaj galowany,
Chudy, długi nakształt tyki,
Niosąc pani baronowej
Najkochańsze dwa mopsiki.
Właśnie poszli wzdłuż wybrzeży,
Które liże fala wartka,
Gdy spostrzegli, że coś leży;
Patrzą: dziecko, przy niem kartka.
Baron włożył okulary,
Czyta: „Zrodzon w nocy dzisiaj,
Ze szlachetnej, zacnej pary,
Niemiec — nosi imię: Bisia.“
I przypisek stał na dole:
„Kto-byś nie był, pan, czy chłopek
Usynowij to pacholę!...“
Tu wykrzyknik i rząd kropek.
Baronostwo stali niemi,
Patrząc na się na przemiany,
A przed nimi spał na ziemi
Dzieciak czerstwy i rumiany.
Był „opeckiem“ nie na żarty!
Jędrny, tłusty, tęgi zgoła,
Buziak krągły, nos zadarty,
Jakby węszył co dokoła;
Tak rzucony losów łasce,
Spał tu dzieciak ten bez troski.
Stali długo i milczeli
Baronostwo — lecz w tej dobie
Snać bez słów się zrozumieli,
Bo w uściski padli sobie,
Poczem, dwie otarłszy łezki,
Pani zwraca swe oblicza
Do lokaja: „Hans! rzuć pieski,
A na zamek weź — panicza...

(D. c, n.)

Włodzimierz Wysocki.

przedstawiają kopalnie wiadomości o ludożercach. Pierwszy z nich opowiada o masagetach, że tam starców zarzynają krewni wraz z baranami, a po dokonanej ofierze gotują ich ciała i spożywają, co biedne ofiary uważają za prawdziwe szczęście. Śród indyan zjadają dzieci swych zmarłych rodziców, a to czemprędzej, aby się ciało ich nie zepsuło. Podczas krwawych uczt, zwanych omofagiami, obchodzonych na wyspach Chios i Tenedos co trzy lata, rozczłonkowywano żywcem człowieka i zjadano go kawałkami. Był to rodzaj mysteryów, o których wspomina Porfiryusz. Jeszcze za czasów chrześciaństwa spotykamy przykłady ludożerstwa. Św. Hieronim, żyjący przy końcu czwartego i na początku piątego stulecia, opisuje jako naoczny świadek atykotów, żywiących się mięsem ludzkiem: wyrznąwszy kobietom piersi i tylne części ciała, spożywali je jako przysmak.

Najliczniejszych przykładów dostarczają żyjące dziś ludy Azyi, Afryki, Australii, Oceanii i Ameryki. Zacznijmy nasz przegląd od mieszkańców Azyi. W kraju Batta jedzą mięso ludzkie nie z głodu, ani jako przysmak, lecz tylko aby tym sposobem objawić wstręt i nienawiść do nieprzyjaciół; przedmiotem więc tamtejszych nieludzkich biesiad są jeńcy wojenni, albo zbrodniarze. Po wydanym wyroku przywiązują nieszczęśliwego do pala, a zgromadzony lud rzuca się z wściekłością, wycinając zeń kawałki mięsa, które zanurza w misy z solą i kwasem cytrynowym, smaży nad ogniem, a potem z dziką spożywa radością. Za cudzołóstwo karzą tu publicznie winowajcę — pożarciem jego ciała. Na Filipinach jest potrawa ta przywilejem i obowiązkiem kapłana książęcego. Lud nie ma do niej przystępu. W Afryce, zwłaszcza u murzynów, używają jej do ceremonii — np. podczas założenia wsi zabijają człowieka, gotują jego wnętrzności z kurami i rybami i rozdzielają między biesiadników. Konsul Hutchinson i czarny biskup Crowther opisują te biesiady: „Myślałem — powiada pierwszy — że się znajduję nad brzegiem Styksu; czarne istoty w postaci ludzkiej, wyjąc i rycząc jak dzikie zwierzęta, wywijały nożami w powietrzu, albo z żarłocznością drapieżnych sępów szarpały zębami ciało ludzkie. Nawet chłopcy i dziewczęta niosły kawały mięsa, z którego krew jeszcze ciekła, znacząc czerwoną smugą drogę. Jedna kobieta wyrwała sąsiadce z krzykiem i łajaniem kęs mięsa, który przed kilku minutami należał do żyjących. Nie chciałem wierzyć oczom własnym, a wszystko to działo się w 1860 roku po narodzeniu Chrystusa, w kraju, gdzie od pół wieku wywiera handel i przemysł swój wpływ „zbawienny.“ W zachodniej Afryce są na ten cel umyślne urządzone jatki, a ofiary tuczą się i zarzynają zupełnie tak samo, jak bydło. Ludzie idą na tę rzeź dobrowolnie z przesytu życia, albo dla sławy, uważają bowiem pogardę życia za swój ideał. Du Chaillu opowiada o fanach, że wykopują na cmentarzu umarłego i zgotowawszy go, pożerają ciało z apetytem, inni wędzą je w kominie na zapas. Mieszkańcy z Basato, kraju urodzajnego i obfitującego w zwierza, polują mimo to nietylko na nieprzyjaciół, aby ich potem spożyć, ale pożerają się między sobą. Leniwa, albo skora do kłótni żona bywa prędko z tego świata sprzątnięta i służy za najlepsze danie; dziecię ułomne albo krzykliwe idzie wprost do kotła. Synowie ojców, a matki swe córki zjadają, jak my ciasta i pasztety. Karol Mauch tak opisuje afrykańskiego ludożercę, którego obserwował 1871 r. w Lomando: „Była to fizyognomia iście zwierzęca, z szerokiemi, wywróconemi wargami, z mocno rozwiniętemi szczękami, z czołem nadzwyczaj niskiem i krwią nabiegłemi oczami, postać bezkształtna i brudna, wydająca z siebie piskliwo-chrapliwe głosy; był to naczelnik ludożerców, który chwytał młode dziewczęta z pola i pożerał je żywcem.“ O mieszkańcach „Niam-niam“ (co oznacza w języku dinka „żarłoków“), którzy przez dłuższy czas uchodzili za małpy ogoniaste, opowiadają podróżnicy, że się szczycą ludożerstwem, z dumą nosząc zęby pożartych ludzi jak najpiękniejsze perły na szyi i zdobiąc mieszkania swe czaszkami z trupów krewnych, a tłuszczu z nich używają do potraw. Kanibalizm spotykamy u ludów stojących stosunkowo na wysokim stopniu oświaty, odznaczających się pomiędzy sąsiadów prawidłowym ustrojem państwowym, pewnem uobyczajeniem, a nawet posiadających literaturę. Na takich natrafiał w swych podróżach jeszcze Liwingstone i Stanley. Haiti np. jest rzecząpospolitą, urządzoną zupełnie na wzór europejski, w której czarny żywioł panuje, wewnątrz jednak jest to kraj barbarzyński, świadczący o małej podatności murzynów do oświaty. I kiedy urzędownie zaprowadzoną tu została religia katolicka, właściwą religią jest fetyszyzm bożka *wodu*, polegający głównie na ofiarach ludzkich i na antropofagii. Jeszcze 1878 r. schwytano tu na gorącym uczynku matkę, zajadającą ciało ze swego dziecka. Zapytana zeznała wszystko zgodnie z prawdą, dodając naiwnie: „któżby miał większe do tego prawo, przecież sama ją urodziłam“.

W Australii, Walchandyi, jest zwyczaj, że rodzina dzieli między siebie ofiarę, tak, że matka dostaje głowę, ojciec kęsy najtłustsze, a dzieci wnętrzności; mięso z europejczyków nie smakuje im, powiadają, że jest słone, mięso z kobiet przenoszą nad mięso z mężczyzn. Panuje tu także okropny zabobon, że starszy brat nabiera siły i zręczności młodszego, gdy go zabije i zje. Podczas uroczystości w tym celu odbytej napominała matka i ojciec, błagając syna, aby jak mógł najwięcej z mięsa tego pożywał; tym sposobem bowiem nabywa się dobrych właściwości zabitego. Mieszkańcy Melanezyi i Polinezyi przechodzą wszystkie stopnie kanibalizmu od najniższej formy pożywienia aż do ostatnich resztek, objawiających się już tylko w kulcie religijnym i w tradycyi ustnej. Na wyspach Fidżi należy ludożerstwo do instytucyj społecznych a sposób pożerania przechodzi nasze wyobrażenia o okrucieństwie. Wsadzają człowieka w pozycyi siedzącej do pieca i tam go smażą a potem całego na stół podają. Zjadają też gnijącego trupa, przyczem czaszki ludzkie służą za puhary. Najokropniejszą jest tortura zwana *vakatotoga*, która pozwala przed oczyma nieszczęśliwych kawały mięsa ich gotować i rozdzielać. T. Williams, podróżnik angielski, opisuje jednego dowódcę z tej wyspy, który zjadł był około 900 ludzi, a tak był wyrafinowanym, że kazał biednym istotom, przeznaczonym na pożarcie, przyrządzać sobie piece, w których miały się piec.

W Ameryce znanem było od dawna ludożerstwo. Na Antylach mieszka lud kalingów, który przez Kolumba przezwany został kanibalami (stąd poszła nazwa ludożerców). Słynny odkrywca Ameryki znał ich tylko z opowiadania. W Meksyku znajdują się osobno na ten cel przeznaczone terasy przy świątyniach. Jourdanel oblicza corocznie tu zabijane ofiary na 20,000 (?) W przeciwieństwie do okrucieństwa innych ludożerców, którzy skórą zdartą z człowieka okrywali się jak płaszczem, wyróżniają się niektórzy meksykańczycy niezwykłą delikatnością dla ofiar na śmierć przeznaczonych. Wybierają młodego i pięknego jeńca niepokalanej czystości i nadzwyczajnego uzdolnienia, trzymają rok w największych zbytkach i roskoszach, uczą go na flecie, przyzwyczajają do palenia na wzór książąt, ubierają go w królewskie szaty, a w ostatnim miesiącu przyprowadzają mu najpiękniejszą dziewczynę — ale po skończonym roku zabijają go, a na jego miejsce przeznaczają drugiego wybranego. Mieszkańcy Tupi wieszają kawałek solonego mięsa człowieczego na belkach swoich mieszkań, jak u nas wędlinę, dziwią się dlaczego europejczycy mięsa tego nie jadają — smakuje bowiem znakomicie; powiadają, iż niema nad nie nic delikatniejszego i soczystszego.

Indyanie północnej Ameryki mają w tym względzie osobliwsze pojęcia i zwyczaje. Skoro jeden z nich z konieczności, głodem zmuszony, zje mięso ludzkie, unikają go wszyscy i są tego przekonania, że ich pożre, gdy się do niego zbliżą; dla tego obchodzą się z nim jak z wyklętym. S. Hearne opisuje z współczuciem takiego nieszczęśliwca jako melancholika; w jego oczach pełnych smutku wyczytać było można pytanie: „Czemu mną gardzicie z powodu mego nieszczęścia. Przyjdzie może niebawem czas, kiedy i was konieczność do tego czynu zmusi.“ Mieszkańcy wyspy Vancouver, w Ameryce zachodniej, posiadają różne hierarchiczne szczeble antropofagii. Na czele tych kast ludożerczych stoi kasta hameców, zażywająca najwyższych zaszczytów, a spożywająca kilkoletnie trupy podczas uroczystości. Dostojeństwa tego dostępują na niższych stopniach stojący ludożercy dopiero po całorocznej pokucie i biczowaniu a zdarzają się wypadki, że po spożyciu starego trupa giną z otrucia.

Jak z powyższego przedstawienia wynika, było ludożerstwo jedną z dziecięcych chorób rodzaju ludzkiego, rozpowszechnioną po całej kuli ziemskiej; bo że mu i europejczycy swój trybut składali — dowodzą wykopaliska i podania ludowe, o których wspominaliśmy na wstępie. Dziś zwyczaj ten panuje najbardziej w krajach zwrotnikowych, ale napotykamy go także w innych stronach, tak u biednych jak u bogatych ludów, u koczowniczych i u osiadłych na roli, u oświeconych i u dzikich. Pierwszą przyczyną ludożerstwa był głód; widzimy go więc z początku w okolicach nieurodzajnych, pozbawionych zwierza i owoców; mieszkańcy ich idą na żer w odległe strony, a gdy go znajdują, rzucają się na szczepy nieprzyjacielskie, chcące im ten żer wydrzeć, zaczyna się między nimi krwawa walka, a zgłodniali zapaśnicy pożerają mięso z swych nieprzyjaciół. Na tym stopniu właśnie występuje drugi motyw ludożerstwa—zemsta. Pobity nieprzyjaciel ma być ze szczętem zgładzony, aby śladu nie zostało po organach i członkach, z których wychodził głos obelgi i ciężkie ciosy. Do tego przybywa trzecia pobudka—zabobon. Ludożerca naciera sobie tłuszczem zamordowanego ciało, z tą wiarą, że nabierze jego sił, albo z tego samego powodu pije jego krew. Gdzie kanibalizm ogranicza się do jedzenia niektórych części ciała, tam występuje serce, mózg, oko i t. p., jako siedlisko uczuć, rozumu i tym podobnych cnót w rodzaju pierwiastku moralnie wzmacniającego. Zdarza się wtedy, że spożywają mięso ludzkie, choć ono wstręt budzi, z wyższych, religijnych pobudek, dla tego, że męztwo, cnoty i właściwości spożytych wstępują w ludożercę; motyw ten jest ostatnią przyczyną kanibalizmu.

Pierwsze oznaki zanikania tego okropnego zwyczaju objawiają się przez wstyd i obawę wykonawców. Od czasów wielkiej epoki odkryć zmalał, a na licznych miejscach zniknął zupełnie ten w oczach naszych najbardziej barbarzyński objaw ludzkości, ale nie zawsze nastąpiło to pod wpływem wiary i oświaty chrześciańskiej. Choroba ta ustępuje też powoli sama przez się, jak np. cholera i tym podobne epidemie, bez współdziałania czynników cywilizacyi.

H.

FILOZOFIA.

KANTYZM I PRZYRODOZNAWSTWO.

II.

Posłuchajmy np., co mówi Tyndall w odczycie, wypowiedzianym 1874 r. w Belfast:

„Możemy śledzić rozwój systemu nerwowego i określić stosunek równoległości między tym rozwojem a zjawiskami czucia i myślenia. Z niewątpliwą dokładnością wiemy, że idą one łącznie, ale w chwili, gdy znaleźć chcemy związek pomiędzy niemi, starania nasze podobne są do usiłowań wzniesienia się w próżni. Dźwignia Archimedesa jest tutaj potrzebną, a umysł ludzki rozporządzać nią nie może... Człowiek, jako podmiot, od człowieka jako przedmiotu, oddzielonym jest przepaścią nie do przebycia.“

W odczycie swoim o materyalizmie naukowym powiada ten sam badacz: „Przypuśćmy, że myśl jakaś i określony pewien proces molekularny zachodzą w mózgu jednocześnie, to brak nam jeszcze takiego organu duchowego i, o ile się zdaje, nawet zawiązku jego, któryby pozwolił przejść zapomocą jakiegokolwiek procesu myślowego od pierwszego z tych dwu zjawisk do drugiego. Zachodzą one wprawdzie jednocześnie, ale dlaczego, nie wiemy. Gdyby dusza nasza i zmysły były tak rozwinięte, silne i jasne, że moglibyśmy widzieć i czuć molekuły mózgu; gdybyśmy zdołali śledzić wszystkie ich ruchy, ugrupowania i elektryczne wyładowanie (jeśli ono zachodzi); gdybyśmy najdokładniej poznali odpowiednie stany myśli i uczuć, to jeszcze znajdowalibyśmy się nieskończenie daleko od rozwiązania zagadnienia, jak połączone są objawy świadomości z tymi procesami fizycznymi? Przepaść między tymi dwoma szeregami zjawisk byłaby jeszcze nie do przebycia.“

Zaznaczyć tu jeszcze można następujące rozmyślania znanego zoologa angielskiego: „Gdy powiadam, że nieprzenikliwość jest własnością materyi, to pod temi słowami rozumieć mogę tylko to, że wyobrażenie, które nazywam rozciągłością, z wyobrażeniem, które nazywam oporem, zawsze jednocześnie występują. Czemu i jak one w takim stosunku się znajdują, jest tajemnicą. A gdy powiadam, że myślenie jest własnością materyi, to znaczy tylko, że wyobrażeniom rozciągłości i oporu towarzyszą zawsze wszelkiego rodzaju inne wyobrażenia. Ale pytanie: czemu tak się dzieje, jest, jak i w pierwszym wypadku, zagadką nie do rozwiązania.“

Kant przepowiedział sobie, że nauka jego zwycięży i ustali się dopiero w dosyć odległej przyszłości. Rzeczywiście, fale życia umysłowego Europy skryły ją na czas jakiś; ale później te same fale podniosły ją na wysokości, na których odbiera ona najpochlebniejsze hołdy; a chylą się przed nią czoła, które praca naukowa bruzdami pokryła, a czci ją głęboko przyrodoznawstwo— gałąź wiedzy, która zwykle oznaki zasługi ściśle odmierza.

Tych hołdów nie poskąpią, zdaje się, Kantowi i przyszłe, najbliższe przynajmniej pokolenia.

Przekonać o tem mogą poglądy filozoficzne tych młodych pracowników, którzy z zasobami zdolności i świeżych sił na arenę nauki dopiero występują. Mamy do zaznaczenia dwa takie głosy, pochodzące od przedstawicieli młodej generacyi uczonych niemieckich.

Dr O. Zacharias w dziełku p. t. *Ueber gelöste und ungelöste Probleme der Naturforschung* (1885) określa między innemi swoje stanowisko filozoficzne. Jest on zwolennikiem Du Bois Reymonda i, jak ten uczony, twierdzi, że wnętrze natury jest dla nas zamkniętem i że istnieje dziedzina, którą *ignoramus et ignorabimus*. Wskutek tego całe nasze poznanie natury ma tylko wartość symboliczną, tj. „nie odpowiada temu, co w naturze rzeczywiście zachodzi, lecz powtarza, jeśli tak rzec wolno, rytm, który panuje w wielkiej harmonii wszechświata.“ Zresztą ceni Zacharias mechaniczną metodę tłomaczenia natury, która w badaniu przyrodniczem niezbędną sobie: nieodzownie utrzymaną być musi.

Jeden z najzdolniejszych fizyologów współczesnych, człowiek, który pomimo młodego wieku zdążył już chlubnie zapisać nazwisko swoje w dziejach nauki, Gustaw Bunge, obejmując katedrę na uniwersytecie w Bazylei, wyraził swoje *credo* przyrodnicze i filozoficzne w broszurce zatytułowanej: *Vitalismus und Mechanismus* (1886). Wykazuje on, że na najrozmaitszych dziedzinach fizyologii, wychodząc z najrozmaitszych punktów, znajdujemy zawsze takie objawy, do wytłomaczenia których nie wystarczają nam prawa fizyki i chemii. Gdy przed laty — powiada on — pozbywano się z nauki zasady „witalizmu,“ tj. metody tłomaczenia wielu objawów za pomocą osobnej siły życiowej, zrobiono słusznie: wyrugowanym został tym sposobem frazes wygodny wprawdzie, ale szkodliwy dla przebiegu badań, gdyż pod płaszczyk jego kryło się dużo nieudolności i lenistwa; ale jeśli przypuszczali fizyologowie, że wszystkie zjawiska życiowe dadzą się sprowadzić do praw fizyki i chemii, to omylili się srodze.

„Czem gruntowniej i ściślej—mówi Bunge — staramy się zbadać zjawiska życiowe, tem silniejszego nabieramy przeświadczenia, że objawy, o których myśleliśmy, iż dadzą wyjaśnić się na zasadach fizycznych i chemicznych, są o wiele bardziej złożone i drwią sobie jak na teraz z wszelkiego tłomaczenia mechanicznego.“ Sądzono np., że zjawisko rezorbcyi, chłonienia żywności przez przewód pokarmowy, da się sprowadzić do fizycznych praw dyffuzyi i endosmozy (przenikania i przesiąkania). Dziś jednak wiemy, że przy tych czynnościach ścianki odpowiednich organów nie zachowują się jak martwa błona; wiemy teraz, że ściany kiszek pokryte są nabłonkiem i że każda komórka tego nabłonka jest istotą żyjącą, organizmem o funkcyach nadzwyczaj złożonych i że przyjmują one pokarm w taki sam sposób, jaki zauważono już dawniej u pierwotniaków. Przed dwudziestu przeszło laty spostrzegł Cienkowski, że te najniższe zwierzęta robią pewien wybór przy zdobywaniu sobie pożywienia. Tak np. pierwotniak z klasy korzenionogich (Rhizopodów) *Vampyrella spirogyrae*, który niczem innem nie jest, jak tylko nagą, bez jądra, różowo zabarwioną komórką, żywi się wyłącznie jednym gatunkiem wodorostów, noszącym nazwę *Spirogyra* i umie go sobie odnaleźć wśród wielu innych. Chwyta go wtedy za pomocą ruchomych i skurczliwych końców swego protoplazmatycznego ciała t. z. nibynóżek (pseudopodiów) i po rozpuszczeniu ścianki drzewniakowej tego wodorostu przez ssanie chłonie jego zawartość; poczem szuka dalej tego samego gatunku, omijając starannie wszystkie inne. „Zachowanie się tych żyjątek — powiada Cienkowski — przy wyszukiwaniu i przyjmowaniu pożywienia jest tak zadziwiającem, że przyjąć je można za działanie istot obdarzonych świadomością.“ Otóż takie same zjawisko mamy przy przyjmowaniu pożywienia przez ścianki przewodu pokarmowego. U zwierząt zimnokrwistych można bezpośrednio obserwować, jak komórki nabłonka w przewodzie pokarmowym wysyłają niby-nóżki, obejmują niemi ciałka tłuszczowe i włączają je do protoplazmy. Oprócz wspomnianego zarówno u zimno jak i u ciepłokrwistych, znanym jest inny jeszcze sposób przyjmowania tłuszczu, a mianowicie z głębszych warstw pomiędzy komórkami nabłonka występują komórki limfatyczne, pochłaniają ciałka tłuszczowe i tą zdobyczą obarczone wracają (do dróg chylowych). Komórki więc nabłonka kiszek, tak samo jak pierwotniaki, okazują zdolność wybierania sobie odpowiedniego pożywienia i unoszą np. ciałka tłuszczowe, zostawiają ziarnka barwnikowe.

Działanie mięśni, gruczołów i organów zmysłowych po wyczerpaniu wyjaśnień, które dać mogą fizyka i chemia, również nie przestaje jeszcze być zagadkowem. Oko np. jest bez zaprzeczenia ciemnią optyczną (camera obscura) i obraz na siatkówce tworzy się według tych samych praw, co i odbicie na tafli w przyrządzie fotograficznym. Ale na tym punkcie kończy się też mechaniczne tłomaczenie jego funkcyj. Według Bungego fizyka i chemia wyjaśniają nam tego rodzaju zjawiska tylko dopóty, dopóki organy nasze zachowują się zupełnie biernie i dopóki udzielają mu się bezpośrednio drgania świata zewnętrznego. Obraz na siatkówce powstaje także i w wyciętem i w martwem oku; powstanie jego nie jest jeszcze objawem życiowym. Ale nie otrzymamy ani jednego słowa odpowiedzi od fizyki i chemii, gdy zapytamy np. o akomodacyę, zjawisko, w którem oko nie zachowuje się biernie, lecz okazuje przystosowanie się do oddziaływania z zewnątrz.

Rozwój anatomii i histologii także nie wiele przyczynić się może do wyświetlenia nam zjawisk życiowych. Gdy bowiem rozłożymy za pomocą skalpelu i mikroskopu wszystkie organizmy na składające je części, dojdziemy w ten sposób do komórki najprostszej, to jeszcze stać będziemy wobec wszystkich dzisiejszych zagadnień. W najprostszej komórce, w bezkształtnej kropli protoplazmy widzimy już wszystkie objawy życiowe: odżywianie się, rozmnażanie, ruch, czucie i funkcye, które odpowiadają życiu duchowemu zwierząt.

Zresztą Bunge nie przeczy, że dalej od nas w mechanicznem tłomaczeniu świata zajdą te o wiele wyższe istoty, które kiedyś ziemię zaludniać będą i że granice poznania dla nich o wiele dalej odsunięte być mogą.

„Był czas — powiada on — że jedynemi czującemi stworzeniami na naszej planecie były rojące się w pierwotnem morzu wymoczki i przyjdzie czas, że ziemię zamieszkają istoty, które pod względem zdolności umysłowych o tyle od nas wyżej stać będą o ile my rozumem naszym przewyższamy wymoczki morza pierwotnego.“ „Nam zaś w całej prawie dziedzinie fizyologii nie pozostaje nic innego do roboty, jak z rezygnacyą pracować dalej w kierunku mechanicznego tłomaczenia zjawisk. Metoda ta jest w każdym razie bardzo w rezultaty płodną: sprobujemy, jak daleko jedynie z pomocą fizyki i chemii zajść można. Na tej drodze wystąpi wyraźniej niezbadane jądro kwestyi.“

Takie poglądy w istocie swojej czysto Kantowskie panują dziś wśród przyrodników. W rzeczywistości bowiem wszystko, co się dziś mówi w granicach poznania zawartem już jest w odróżnieniu rzeczy samej w sobie od zjawiska. Ponieważ rzecz sama w sobie jest pojęciem granicy, tedy jako przedmiot dla przyrodoznawstwa pozostaje niezmierzony obszar świata zjawisk. „Mechaniczne pojęcie o świecie — powiada Lange — ma wstecz i naprzód nieskończone przed sobą zadanie, ale jako całość i co do istoty swojej ma ono w sobie z zasady granicę, która go na żadnym punkcie drogi nie opuszcza.“

Wpływ Kanta wyraża się w tym męzkim krytycyzmie, z jakim badacze natury zapatrują się teraz na swoje studya i ich przedmiot. Z jednej strony wypleniają oni z nauki resztki przestarzałych poglądów i naleciałości teologiczne, z drugiej zaś zdają sobie odważnie sprawę z trudności swego założenia i liczą się z tymi warunkawi poznania, które już przez samą organizacyę naszą narzucone nam zostały. W przedzy dzisiejszej nauki widnieje wyraźnie złota nić myśli Kantowskiej.

Mieczysław Kaufmann.

EPIDEMIA PESYMIZMU.

III.

Nic to nie znaczy, że dzieje każą pochylić czoło przed stoikami, podnosząc ich cześć

dla samej idei cnoty. Któż zaręczy za ich szczerość, jakaż pewność, że nie rządziła nimi „lubiczność duchowa (!) vulgo pycha.“ Jak widzimy, autor jest pomysłowym w swych przypuszczeniach.

Następnie miłość. Niebiańskie to uczucie, ten silny kwiat życia tak ściśle połączony jest z ideą nadprzyrodzoności, że kto nią nawskróś przesiąknięty nie jest, prawdziwej jego woni nigdy nie zazna, a usta jego od tej czary nieczysta siła wiecznie odpychać będzie. Tak tedy i druga gałąź z drzewa szczęśliwości dla niereligijnych łamie się i odpada.

A ideał? Biada „pozytywistom!“ i tutaj łudzą się okrutnie. Podnoszą kult piękna w sztuce i naturze, stawiają go światu jako cel najpodnioślejszy, najwyższy, niedościgły, jako szczyt prawdziwego szczęścia, a zapominają nieboracy, że na dnie każdego wzruszenia estetycznego, każdego zachwytu i uniesienia, tkwi skulona w niewidzialne źdźbło cała nieskończoność, cały bezmiar nadprzyrodzony, którego krótki upośledzony wzrok realisty żadną miarą dostrzedz nie potrafi. Gdzież więc ta jego rozkosz idealna? W pracy twórczej, w wykonaniu pomysłu? Bynajmniej. Toż Hartman niezbicie wykazał, jak powiada poeta, że

Męczarnia wieszcza w chwili tworzenia,
To boleść matki w chwili porodu,
Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia.

Chyba tylko chwilę poczęcia, nakształt błyskawicy olśniewającą wyobraźnię, możnaby nazwać błogą; po niej następują wnet mozolne dni i lata zbierania materyałów, szukania rymów, gładzenia i wykończania dzieła, które srodze karzą za ów błysk natchnienia i śmielszego wzlotu myśli. Zresztą każdy powab ma w sobie coś niepochwytnego, pierwiastek mistyczny, niedostępny dla „pozytywistów,“ który stanowi właśnie istotę piękna. Tymczasem dla wydziedziczonych zamknięte są na wieki wrota uroku — po ciele ich nie przejdzie dreszcz grozy majestatycznej, pobożnego namaszczenia na widok księcia Jeremiego, korzącego się u stóp krzyża, oczów ich nie zwilży łza tkliwego współczucia dla bohaterskiej Antygony i zbolałego Hamleta. Wstrząsające sceny z *Pana Tadeusza*, spowiedź Robaka, zabójstwo Stolnika „po gruntownie przefiltrowanym“ ateuszu prześlizgają się jak po szkle. Zostaje więc jedyna „prawda“ — ostatnia bańka mydlana, mieniąca się wspaniałemi barwami tęczy, najwyżej wzbijająca się, ale najmniej ze wszystkich trwała. Niechaj załopoce na nią drugie skrzydło pozytywizmu: szczęście, w mgnieniu oka pęknie. A jednak chce on gwałtem dwa te krzyczące przeciwieństwa pogodzić — jakim cudem, niewiadomo. Postanowił sobie za wszelką cenę odsłaniać przed oczami ciekawych i obojętnych nagą prawdę, nie pytając, czy przyniesie zbawienie, czy na zawsze wyzuje z równowagi; nie uwierzy w nic, dopóki namacalnie i dotykalnie nie przekona się. Uważa za świętą misyę odkrycia swoje najszczerzej ogłaszać i każdą nową zdobyczą analizy przechwalać się. Runie przeto prędzej czy później w otchłań czczości. Zagrożony widmem przyszłego „nic,“ mimo największego zasobu sił i popędu do życia, utonie w oceanie goryczy i apatyi. To będzie prawdziwy sąd ostateczny. Korzystajmy z czasu i uderzmy w pokorę — wystarcza trochę dobrej woli i wyrzeczenia się *negacyi à priori*, wiary w to, czego poznać nie możemy, a wtedy duch nasz ocknie się z martwoty.

Oto treść ody do religii, i to koniecznie katolickiej, jako tępicielki pesymizmu. Niema w niej ostrych zgrzytów i rozdźwięków, których zazwyczaj pełne są inne tego pokroju kazania, niema wzgardy i nienawiści dla myślących inaczej. Można tylko przyklasnąć słowom życzliwym i malującej się w nich tolerancyi. Przy takich warunkach dyskusya staje się możliwą i byłaby niemal łatwą, gdyby w parze z najlepszemi chęciami nie szła dziewicza zaiste prostota i naiwne pojmowanie ocenianych faktów, gdyby nie zabawna pewność, że kilkoma tuzinami szumnych odsyłaczów, setką przytoczonych aforyzmów i wyjątków można zachwiać przekonanie odmienne. Daremnie szperam w pamięci i przerzucam katechizmy moralności społecznej, daremnie zaglądam w uczucia ich apostołów — nigdzie tego kalectwa umysłowego i stępienia najlepszych władz ducha nie znajduję. Nie wystarcza i wyznanie Milla: „nie należy wlec się z pospólstwem, ani nurzać w zmysłowych rozkoszach, ale wdzierać się na wysokie szczyty, kędy rozum buja w niezmąconym pokoju i poznaje nieokreślony lecz promienny ideał najwyższego dobra;“ nie wystarcza i żal Spencera, że po ewangelii pobożnie wysłuchanej, każdy z rodaków jego pójdzie, gdzie mu każą i kogo wskażą zabijać bez miłosierdzia w imię krzewienia tej samej ewangelii? Jeśli ziemska sankcya jest za słabą, niema najmniejszego dowodu, żeby pozazmysłowa była skuteczniejszą. Należałoby wprzód porównać stopnie uobyczajenia dawnych i naszych czasów i ustalić, że doba wiary pierwotnej zawstydza dzisiejszą, potrzeba by wyświetlić, że ludzkość epoki „żelaznej dziewicy,“ zdzierania pasów, wyrywania widłami piersi była szczęśliwą, a wtedy zyska się prawo pogardzania prawami humanizmu na rzecz przykazań teizmu.

Szydźmy głośno z różnych złudzeń socyologów, że popędy samolubne jednostki kiedyś zmaleją do niezbędnego minimum, a altruistyczne wzmaga się i zamienia społeczeństwo w bractwo wzajemnych ustępstw; rozciągnijmy usta od ucha do ucha ze śmiechu nad Fouillem, że w przyszłości zbrodniarz skruszony sam karę będzie sobie wymierzał i gwałtem się jej domagał; ale wykażmy wpierw, że policya i sądy zaświatowe łacniej w karbach utrzymają zwierzęce nasze zachcianki, wypłoszą raz na zawsze dyabła z za kołnierza modlących się przed krzyżem. Nie sądzę, ażeby utylitaryzm był szczerozłotym i kamienia probierczego nie bał się, ale żąda on, by mu jego niższość i nieprzydatność wykazano. Gdy ujrzy niby czarne na białem, że psuje ludzi i szczęście im druzgocze, cofnie się jak niepyszny. Tymczasem pyszni się, że odziera jednych z niezasłużonych przywilejów, a innym nędzę nad siły umniejsza, że zmusza oglądać się na słabych i wydziedziczonych, a wielkim tej ziemi nuci piosnkę o bogaczach i uchu igielnem, chociaż nie jako dogmat, lecz jako przysłowie. Zresztą nie chodzi mu bynajmniej o ogołocenie ludzi z wierzeń; powstał niezależnie od „pozytywizmu“ w krainie Starego i Nowego Testamentu, w mglistej Anglii, gdzie najśmielsi filozofowie przywiązani byli do tradycyi, nawet Locke, Priestley, Reid, Bentham, obydwaj Millowie i dzisiaj tak popularny Spencer,—przechodząc jeno stopniowo od szranków jednobóstwa w obszary panteizmu. Jeśli nawołują oni do moralności doczesnej, to dlatego, że przekazy na niebo trudne są do zrealizowania, a potrzeba szczęścia na ziemi silnie dokucza i trapi.

Mają w odległej przeszłości jaskrawe świadectwa, że bez uświęcenia przez wiarę w życie i sprawiedliwość pozagrobową moralność kwitnąć może a szczęście i zadowolenie być codziennym udziałem ludzi. Żadne zmory piekielne nie dręczyły greków i rzymian, persów, asyryjczyków, chaldejów, a jednak narody te cieszyły się pogodą, którą właśnie wtedy tracić zaczęły, gdy zjawiła się samolubna kasta kapłanów, aby zagarnąć w swoje ręce wpływ i potęgę, wymyśliła zabobony, formalne kulta ofiary, w ciechości ducha śmiejąc się w garść do każdego spotkanego kolegi.

Wszystkie inne zarzuty walą się przed tym dziejowym, jawnym dla świata dowodem. A już i pomysł to całkiem niefortunny litować się nad tak zwanym pozytywizmem z powodu jego niemocy artystycznej. Shelley, którego pierwszym utworem namiętnym była: „Konieczność ateizmu“ zapełnił całą przyrodę duchem i myślą bożą. Każdy kwiat, listek, morze niezgłębione, ziemia czarodziejka były dlań panteonem, któremu w pieśniach swych całopalne składał ofiary.

Heine największy bluźnierca w literaturze, który śnił, że był Bogiem, drwił z św. Trójcy, twierdząc ustami dysputującego z księdzem rabina, że zrozumienie jej wymaga zaparcia się „ciasnych granic rozumu“ — odtworzył z niezrównaną poezyą wiarę ludową w cudowne uzdrowienie, w perełce: „Pielgrzymka do Kewlaar“ — a mniemam że dwaj ci bezbożnicy z naiwnego stanowiska autora, najbardziej podpadają typowi „pozytywistów.“ Byron pływał zaledwie w niewyraźnym deizmie, złorzeczył biblijnemu Bogu, i „zburzył ołtarz, pochlebcę niebios, dymiący wyraz głupiej modlitwy, z mięsem jagnięcia i kozy, które wykarmiło mleko a udusiła krew“ (*Kain*), a przecież jako rzecznik ideałów dziewiętnastego stulecia, jako Manfred jest największym. Goethe wyklinający ewangelię, że rozwiała za zawsze pogodę klasyczną, pradziad w prostej linii Darwina — stworzył w Małgosi najwznioślejszą duszę chrześcijańską. Naćóż wreszcie ciągnąć ten szereg do nieskończoności. Całe duchowne potomstwo Prometeusza, ktolujące nowoczesnej poezyi, nieprzeliczona falanga bohaterów jej i męczenników z Wiktorem Hugo na czele krwawo natrząsa się z miotanych na nią obelg. Toż samo w muzyce, rzeźbie, malarstwie, którym przecież trudniej obejść się bez ucieleśnienia metafizycznych porywów człowieka.

Powie kto może, że pozytywiści to nie poeci. Ale wszakże sam autor zarzuca im optymizm, marzycielstwo, nadzieję założenia na tym padole prawdziwej „Civitas dei“ Jakaż zachodzi różnica między tęczową mrzonką rymotwórcy a prozaika — myśliciela? Żadna, — między przeczuciem wszechbóstwa u Seneki, Socratesa, Spinozy, Comta lub Milla a panteizmem *Farysa* Mickiewicza, *Boskiej komedyi* Danta? Taż sama.

Jedna jedyna skarga jest może słuszną, że ateizm nadto kwapi się z nawracaniem tłumów. Zapewne, bez czułych względów Holbacha, Straussa lub Büchnera ludzkość dałaby sobie radę, ale niestety dalekim jest ów dzień, który zaznaczy ognistemi zgłoskami granicę między tem, co wymaga światła, a tem, co powinno się ukrywać tylko w komórkach mózgowych filozofa. Zresztą niweczącа energija wrzekomych materyałów jest wynikiem ciasnoty, panującej dokoła, reakcyą przeciw duszącym wyziewom wstecznictwa, w pobudkach swych zawsze czystszą od nabożnego faryzeizmu.

Zbierzmy w całości barwy jakiemi wspomnieni dwaj autorzy i cała szkoła malują t. z. „pozytywizm“ a ukaże się nam babuk dla dzieci lub postrach na wróble. Wszędzie jednakowa pierwotność w charakterystyce i ocenach. Do formuły przez nich podanej możnaby w najlepszym razie naciągnąć dwa, trzy umysły dziś już nie czynne, pomiędzy którymi notabene ani jednego z czcicieli pozytywizmu, błąkających się gdzieś w zakątkach Francyi — niema.

Nie chodzi nam o obronę jego, ponieważ milej daleko unikać tego wstrętnego brzmienia, które jak aryę z modnej operetki powtarzają fałszywym i ochrypłym głosem wszystkie kucharki i pomywaczki naszej umysłowości, wszystkie kataryпki prawowiernej filozofii, słowem cała „Saska kępa“ polskiego piśmiennictwa.

Ale trudno powstrzymać się od przemówienia, gdy poruszając najwyższe zagadnienie oświaty—szczęśliwość, każdy uważa za swój dług szarpać dobrą sławę systematów, które z owem rozumieniem pozytywizmu i materyalizmu nie mają nic wspólnego, chyba ziemię, na której się urodziły

i słońce, które im przyświeca. Trudno nie pisać satyry, gdy się widzi roje bąków, jakie się lęgną na podobnem bagnisku.

Przystępując do rozstrzygnięcia owego problematu, należy opancerzać się w powagę i sumienność. Pesymizm dużo już złego nabroił u mędrszych od nas—tutaj może stać się groźnym. Jest on dla pewnych ludów jak sen, który, gdy ogarnie wędrowca na wysokim mrozie — uśpi go na wieki. Całą potęgą woli trzeba mu się opierać. Lekceważy go jednak szarlatańswo metafizyczne u prusaków, a w naszym ruchu umysłowym zachęca doń płytka krytyka filozofii i powierzchowne wskazywanie przyczyn złego.

Puszczyków w literaturze nie zabraknie nigdy, bo są oni pożądani. Zagłębiają swój wzrok w ciemności i dostrzegają niewidzialne dla nikogo upiory, krytykują niemiłosiernie słabość i niedołęstwo, głupotę i złą wolę, takich pesymistów skłonne do samochwalstwa narody nigdy za wiele mieć nie mogą. Do tego walecznego zastępu bojowników nie należą jednak ani zrozpaczeni bezwzględnie ani tem bardziej nietoperze nie lubiące jasnego dnia dla samej jego idei; wyklinające go jako źródło powszechnej klęski chociaż jest on solą tylko dla ich ślepego oka.

Pesymizm jeśli tylko nie służy za wyraz prawdziwego cierpienia i żądzy ideału, jeśli nie zapładnia umysłów nowemi myślami i nie wlewa w serce męstwa do walki z demonem złego — pozostaje bardzo celowym i pożytecznym, a jeśli nadto umiłował sobie obrzydzanie humanizmu i dążeń doczesnych—wyświadczą ogólnej i ojczystej cywilizacyi dwuznaczną wielce przysługę.

W jednej zowych nocy natchnionych, nocy bezsennych, kiedy Musset żalił się na swe niedole, oblubienica-muza opowiada mu o nieszczęsnym pelikanie, który wracał do gniazda, bez karmi dla piskląt ukochanych. Daremnie szybował nad oceanem, ogłuszając przestrzeń rozdzierającymi krzykami, daremnie wzywał na ratunek niebios i zaglądał w głębię morską—była pusta. Za całą zdobycz przynosi swoje serce; ponury i milczący, rozpostarłszy się na skale dzieli swe wnętrzności pomiędzy dzioby zgłodniałych dzieci. Widok własnego łona zbroczonego krwią przejmuje go zgrozą, ale duszę napełnia niewysłowioną rozkoszą i tkliwością (*La nuit de Mai*).

Taką powinna być boleść pesymisty: służyć za strawę duchową przyszłym pokoleniom — podtrzymywać je, ale nie zabijać.

N. Hirszband.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Grzegorzewski Jan. *Z kresów połabskich.* Kraków 1886.

Radzi jesteśmy niewymownie, gdy poświęcić możemy wzmiankę pracy pożytecznej.

Z dziejów wielu plemion pobratymczych szczególnej przeszłość słowiańszczyzny połabskiej, ze względu na stosunki społeczne, obudza ciekawość naszą, gdyż wskazuje przyczyny, dla których spółplemieńcy nasi zginęli w długowiecznym boju z potężnym przez zgodę i wytrwałość germanizmem.

Ujście Łaby (do Elby) do morza Niemieckiego, stanowiące o handlu, a więc o warunkach nastąpić mającego rozwoju cywilizacyjnego jednego z walczących plemion, stało się jabłkiem niezgody prastarych tych między słowianami a germanami bojów. Świadectwa starożytne stwierdzają pobyt słowian połabskich w ziemiach Europy w czasach przed erą chrześcijańską. Germanowie, pośredniczący w handlu słowian z rzymianami wdzierać się poczęli do pierwotnych siedlisk ojców naszych, skąd przez sojusz słowian z hufcami Atyli wyparci, rzucili się na dogorywające państwo rzymskie, lecz mimo jego upadku, pochłonięci zostali przez górujący wyższością uspołecznienia żywioł łaciński, będący rdzeniem wszechwładnej w starożytności Romy. Wtedy barbarzyńscy ziomkowie Arminiusza, przypomniawszy sobie siedliska w Europie północno-zachodniej, w ciągu VI, VII i VII wieku zaczęli wypierać słowian w kierunku ku wschodowi. Wytrwali w boju germanowie zawładnęli z czasem ujściem Łaby, stawszy się panami owego złotego runa w dziejach słowiańsko - teutońskich. Kresowych obrońców wagryan zastąpili później Bodrycowie czyli obotryci, tych zaś sorabowie, a w końcu czesi i polacy, dziś jeszcze duchowo walczący.

Słowianie, posiadający wtedy rządy gminowładne, zajmowali się handlem, lubo osobnego stanu kupieckiego i miejskiego nie wytworzyli; gdyż tak zwane grody były miejscami obronnemi, w których się jeno zbierano podczas wojny i składania ofiar bogom ojczystym. P. G., zgodnie z hipotezą W. A. Maciejowskiego, w powstałej w XIII w. *hanzie* widzi pierwiastek słowiański. Ciekawe są spostrzeżenia autora co do różnic etnograficznych szczepów sobie wrogich, orzekających o zwycięztwie walczących. Wyparcie słowian ku wschodowi, dotąd jeszcze trwające, zepchnęło ich na podrzędne w cywilizacyi stanowisko. Jest to odwieczne prawo mocniejszego, pojawiające się we wszystkich stosunkach ludzkich.

Ideały głoszone przez usta bojowników, były jeno płaszczykiem, pod którym ukrywano cele poziomego samolubstwa.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA ROSYJSKA.

Z Mickiewicza. Przekłady N. P. Siemienowa. Petersburg.

Nie po raz pierwszy to zdarza się nam sposobność czytania utworów Mickiewicza w języku rosyjskim. Jak zresztą widać w przedmowie do zbioru tłómaczeń, które leżą przed nami, wszystkie poemata większej miary, a także mnóstwo drobniejszych po wielekroć bywały przekładane. P. Siemienow upatrzył sobie *Konrada Wallenroda, Sonety Krymskie, Farysa, Odę do młodości, Do Aleksandra Chodźki, Maryi Szymanowskiej, Precz z moich oczów* oraz kilka innych—wyznać należy, bardzo umiejętnie i z widocznem znawstwem wybranych. Dwa pierwsze z przytoczonego szeregu po raz siódmy już ukazują się w piśmiennictwie rosyjskiem. Tym więc sposobem p. S. w pracy swej miał znakomite ułatwienie, ile że poprzednikami jego były były tak wytrawne pióra, jak Szerszeniewicza, Berga i Bendyktowa. W ogólności zaś daloby się powiedzieć, że następca ich dobrze się z oryginałami zapoznał, gdyż wykonaną teraz chęć zruszczenia ich żywił oddawna. Osobliwie zaś wielka epopea zemsty litwina nad teutonami wypadła ze wszech miar dodatnio, chociaż jak wiadomo, różnolita jej budowa, której nie obcym jest i heksametr klasyczny — przedstawia nie mało trudności. Przynajmniej to części, gdzie poeta trwa w nastroju dosyć umiarkowanym, nie prawie nie ucierpiały na tłómaczeniu, czego jednak niepodobna rozciągnąć do ustępów nacechowanych większą siłą. Tak np. sławna pieśń „Alpuhara“, której ostatnie strofy, opiewające skon Almanzora, dyszą dziwną energią, połączoną ze zwięzłością słowa, wyszły całkiem blado. Słynne wyznania, poczynione przez bohatera przed sądem krzyżackim a rozpoczynające się wierszem: „O to są grzechy mojego żywota!“ straciły niesłychanie wiele, prawie wszystko, bo całą swą grozę i dumę. Pyszna retoryka szyderczych zapytań, na które odpowiedzią są ciosy, przypominające uderzenia młotu, rozwiała się w wierszu o zupełnie odmiennej, pospolitej składni. Nadmienić wszakże wypada, że rozmowy Alfa z Aldoną, pełne głębokiego uczucia, chociaż nie wolne od niebezpieczeństwa przesady, dzięki podeszłemu wiekowi obojga kochanków, oddane zostały z dokładnością, mało pozostawiającą do życzenia.

Znamiennym rysem p. Siemienowa, rozumie się, nie bardzo dodatnim, jest swobodne traktowanie technicznych warunków poezyj Mickiewicza; w skutek tego wiersz krótki najczęściej zastąpionym bywa długim, który oczywiście mniej celuje lekkością i wdziękiem, a co ważniejsza, kłóci się z intencyą danego utworu. Rys ten razi szczególnie w cudnych zwrotkach, poświęconych Bohdanowi Zaleskiemu: „Słowiczku mój! a leć! a piej!“ Wiersz pierwszy i trzeci tworzą w nich wyraźny kontrast, dający niezwykłą harmonię i śliczny efekt. Tłómacz zaś, lekceważąc to urozmaicenie frazesu muzycznego, zachował wszędzie jedną i tę samą miarę i pozbawił go całej gracyi.

Reszta rymów ulotnych przełożoną została mniej więcej pomyślnie.

Trudności największe pokonywać musiał p. S. w Farysie i Sonetach krymskich—lecz czy się z niemi uporał — to rzecz inna. Oba te płody Mickiewiczowskiej muzy swą siłą i majestatem przewyższają wszystkie, nie wyłączając najbardziej genialnych, hołdy, złożone kiedykolwiek przez poetów naturze i jej żywiołom. Nie myślimy bynajmniej rozwodzić się tu szeroko nad ich niezrównanym, po prostu wyjątkowym czarem; nie ulega wątpliwości, że w świtającej u nas dobie poważnej krytyki literackiej będą kiedyś rozbierać pojedyńcze zdania i wyrazy, zwroty i figury tych utworów i pisać o nich rozprawy, jak to czynią niemcy z pismami Goethego i Schillera. To właśnie piękno mogło się narodzić tylko na kresach ziemi ucywilizowanej, skąd już niedaleko do dzikich gór Krymu i Kaukazu, dokąd fale morza Czarnego zanoszą niekiedy podmuchy wichrów pustyni. Dziecię zachodu nie może nigdy posiadać ani rozumieć orlego polotu sąsiadów stepu, pędzonych żądzą wrażeń het, daleko po za granice społecznego życia. Dzikiej wspaniałości obszarów ukraińskich, lub szczytów Czatyrdahu chyba nie w stanie pojąć turysta niemiecki lub angielski, szukający wstrząśnień nerwowych w Szwajcaryi. Tam tak ujarzmiono śnieżne olbrzymy, okiełznano wodospady, i udogodniono karkołomne przejścia, że naiwny Tartaryn z Tarasconu uwierzył w istnienie jakiegoś towarzystwa narodowego, które dla zwabienia podróżnych, rozmyślnie stwarza pozorne niebezpieczeństwa, ale trzyma zawsze w ukryciu przewodników i urządzenia, uniemożliwiające nieszczęsne wypadki. Inaczej w byłej krainie tatarów, gdzie jeżdżecie nie kolejom żelaznym, lecz „końskim nogom swój rozum powierza“, inaczej też w piaskach Arabii, gdzie „natura, snem ujęta, nigdy ludzkich stóp nie słyszy.“

Takiej to przyrody czynniki, zogniskowanie w duszy poetyckiej złożyły się na Sonety krymskie i Farysa. Dziwny to wybuch natchnienia, który ślepym i martwym żywiołom nadał kształty żywych potworów, w potoku słów odtworzył walkę z nimi; uduchowił i zobrazował wszystkie zjawiska pustyni językiem, co głaszcze ucho jak najwytworniejsza melodya i nieledwie jak marmur olśniewa oko. Zwracano już uwagę (Bolesław Prus) na samą kompozycyę „Farysa“ i wykazano, że udział w niej dźwięków głoskowych czyni zadość tak zwanej „złotej proporcyi“, której poeta jednakże nie szukał.

Nic więc naturalniejszego nad to, że tłómacz niemógłtak wyjątkowej potędze utwo-

ru sprostać. Pomimo, iż ją oceniał, czego dowodem sam wybór, nie był jednak w stanie odgadnąć jej sprężyn, pojąć, że forma zewnętrzna znaczy tam niesłychanie wiele i nie znosi najlżejszego uszkodzenia. Dopuścił się więc pewnej samowoli, wprawdzie nietyle rozmyślnej, ile uwarunkowanej potrzebą łatania dość ciężkich rymów swoich. Oryginał do różnych epizodów rozmaitą stosuje długość wiersza, zawsze ściśle dopasowaną do treści — a p. S. tego nie uwzględnił. I oto urywek „Daremnie palma zielona“ wlecze się leniwiej daleko, niż: „Czuję, krakał, zapach trupi“ albo „O szalony, gdzie on goni!“ Miejscami znowu znajdujemy wiersze dwudziestogłoskowe zamiast trzynastogłoskowych. (Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?) i t. p. Zamiast „pusta praca“ czytamy: „marny los“, a gdzieindziej zamiast w powietrzu — „w falach srebra“ które jakoś nie bardzo licują z błękitem, o którym mowa prawie jednocześnie. W sławnej walce z huraganem, porażka jego wypadła słabiej, albowiem wspaniały pomysł: „u nóg mych“— ulotnił się. W opisie odgrzebanej karawany, groźbę szemrze nie piasek, który strumieniem się toczy, lecz jakiś improwizowany naprędce szum; w skutek czego jeden obraz uległ konfiskacie. Ze skroni, której „obłok deszczem nie odkropi,“ tłómacz niepotrzebnie starł kurz, o jakim opowiada jednak Farys. Nadludzkiej siły i bajecznego rozmachu

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska,

podłożoną została pod rytm, mocno przypominający kurs — galop konia meklemburskiego. A przecież od tej uroczystej inauguracyi zapożycza pędu cały poemat, którego bohater nawet przez pierwszego z afrykańskich wichrzycieli nazwany został wichrem „jednym z jego młodszych braci.“ Nadto na sam wstęp wpakował p. S. aż pięć *o* z rzędu (Moj koń woronoj); grzywie, zamiast puścić ją na wolę wiatrów, kazał kręcić się itp., a do słów: „wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,“ dodał wykrzyknik: bracie! I gdzież się podziała samotność beduina?

Nie wolne też s od podobnych usterek przekłady sonetów. W „Stepach Akermańskich“ opuszczono cały wiersz: „Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.“ W „Żegludze“: „wiem co to być ptakiem,“ przerobiono: „lekko mi być ptakiem.“ „Burzy“ p. S. widocznie nie zrozumiał, gdyż u niego, nie góry wznoszą się piętrami z morskiego odmętu, lecz „po szczeblach wznosi się geniusz śmierci,“ przyczem cały czterowiersz został niemiłosiernie przekręcony. W sonecie piątym ni stąd ni zowąd zima „zatyka szczelinę skał.“ W „Mogiłach haremu“ nie koncha wieczności porwała perełki wschodu, lecz „czółenko,“ — doprawdy, dziwne to czółno, co zawiera w sobie perły.

Z przytoczonych okazów można już nabrać pojęcia o całości przekładu dwu tych niezwykłych utworów. Do niej przeto niepodobna zastosować zdania, jakie wypowiedzieliśmy o tłomaczeniu „Konrada Wallenroda.“ Niewątpliwem jest, iż p. S. czyniąc powyższy „zaszczyt“ największemu polskiemu poecie (język, którego używa autor, gdy mówi o Puszkinie, przyswajającym ojczystemu piśmiennictwu Mickiewicza), dał o nim wcale niezłe wyobrażenie rosyjskiej publiczności, jednakże godne uznania a często i pochwały prace są niekiedy bardzo odległe od oryginału.

Cezary Jellenta.

Przesmycki Zenon: *Znaczenije popytok kodyfikacii meżdunarodnago prawa dla teorii i praktiki. Kriticzeskoje obozrenije sowremiennoj literatury po skazannomu woprosu.* Warszawa 1886 r.

W dziedzinie ustawodawstwa międzynarodowego rozprawa p. Przesmyckiego, nagrodzona medalem złotym przez uniwersytet warszawski, obok prac znanego u nas Kasparka, stanowi ważny nabytek. Autor szperał w źródłach, ocenił je krytycznie, uwzględniwszy przytem ruch w spółczesnej literaturze tego kierunku.

Prawo, wywodzi p. P. za Laveleyem z samolubstwa, wrodzonego każdemu człowiekowi, w którym poczucie bezwiednej obrony i dążności utylitarnej, nad innemi skłonnościami przeważając, stało się powodem do ustanowienia porządku społecznego, utrzymującego równowagę zbiorową. Uznanie dobra w postępowaniu zgodnem z potrzebami ogółu stanowi tylko pewien stopień samolubstwa, nabytego przez wiedzę i doświadczenie. Im niższy ludzie w uspołecznieniu zajmują szczebel, tem bardzie się nienawidzą. Dowodzą tego dzieje ludzkości, gdzie każdy wiek niezatarte pozostawił ślady, będące ogniwami, łączącemi wszystkich mieszkańców globu naszego w jednolity łańcuch spólnych potrzeb i celów. Grecya była ojczyzną związków politycznych, Rzym zaś w *jus civile* określił stosunki obywatelskie, rozwinięte przez chrześcijaństwo do pojęcia kosmopolitycznego, lecz tworzący się w ludach organizm chrześcijański wyłonił kasty i korporacye, toczące odradzający się ustrój społeczny przez całe wieki średnie. Zniesienie stosunków kastowo - korporacyjnych stało się zadaniem przewrotu, dokonanego we Francyi przy końcu ubiegłego stulecia. Z powstaniem państwowości uorganizowanej na zwaliskach dawnego porządku, otwierać się zaczęły nowe do rozwoju prawa międzynarodowego drogi; bo zerwały się okowy, które krępowały swobodny bieg interesów, sprzyjających ogólnemu dobrobytowi i łacniejszemu zbliżeniu się narodów.

Ludwik Bara, autor dzieła nagrodzonego na kongresie przyjaciół pokoju w Paryżu 1849 r. (*La science de la Paix*) utrzymuje, że nie przez kongresy i sądy międzynarodowe, mające na celu zniesienie wojny, lecz przez ustanowienia kodyfikacyi prawa międzynarodowego spodziewać się można rozwiązania tej kwestyi, która wywołała liczne między uczonymi rozprawy. P. Przesmycki rozbiera szczegółowo te prace, wykazując ich ujemności.

Część drugą rozprawy poświęca rozbiorowi dzieł zbiorowych. W dodatku załączone są oryginały francuzkie dotychczasowych w kodyfikacyi usiłowań.

J. F. G.

KARTKI ESTETYCZNE.

XI. Przyćmienie polskiego malarstwa; świt polskiej rzeźby.

Dla honoru polskiej sztuki wypadałoby jaknajprędzej zamknąć tegoroczną konkursową wystawę malarstwa i rzeźby — przynajmniej w dziale malarstwa.

Przysłano do tego działu kilka płócien zupełnie nieudolnych, kilka pospolitych aż do naiwności i kilka zręcznych, ale czczych, których właściwe miejsce byłoby chyba na jakimś konkursie malarskich bawidełek...

Gdzie schowała się, na czas konkursu, nasza narodowa „szkoła“? dlaczego nie rozjaśniła ona tej artystycznej szarzyzny choć jednem dziełem, któreby nosiło znamię odrębności i siły?

Musi tkwić coś fałszywego albo w samem założeniu konkursów, albo w sposobie ich urządzania, skoro z roku na rok stają się uboższymi i lichszymi. W zeszłym roku, choć ze szranek konkursowych nie wyszedł na świat żaden wielki talent, wzbogacający sobą artystyczne zasoby społeczeństwa, panowała w nich przynajmniej — rozmaitość. W roku bieżącym nawet i tego są pozbawione. Widz chodzi od płótna do płótna, ziewając, i wyobraża sobie, że wszystkich panów współubiegających się opanował jakiś szczególny demokratyzm i że wzięli sobie oni za punkt honoru: wejść do konkursowego salonu — w negliżach.

I zaprawdę są to po większej części robótki negliżowe — lekkomyślnie obmyślane i niedbałe w wykonaniu, traktowane szkicowo lub dekoracyjnie, przeżuwające motywa stare, zużyte, wytarte...

Czyż nie jest naprzykład szczytem pospolitości „Odjazd na wyprawę“ p. K. Mireckiego? Figury wszystkie stoją tam sztywno, jak kije, główny zaś bohater, młodzieniaszek z podgoloną czupryną, klęczy w ten sposób, iż postać jego łamie się pod kątem najzupełniej prostym. Widzieliśmy już podobne odjazdy niejednokrotnie, a ten ostatni nic nam nowego nie przynosi.

Pan M. probując najrozmaitszych tematów, najróżnorodniejszych sfer i rodzajów, nie potrafił dotąd zaznaczyć nigdzie jakiejś własnej, wyraźnej indywidualności. Chyba, że do cech znamiennych tego artysty zaliczy się ową sztywność figur i mętny, brudnawy koloryt — dwa znamiona uderzające nas nietylko na konkursowej jego pracy...

A cóż znowu świeżego pokazał p. Szerner, autor zeszłorocznych, słonecznie namalowanych, ale beztemperamentowych i niehistorycznych „Lisowczyków“? Przysłał on na konkurs... „Targ w małem miasteczku.“ Istnieje kilka oklepanych przedmiotów, na których zdzierają pędzle nasi artyści, pozbawieni daru wynalazczości. Przedmioty te są jak sztyfty na walcu katarynki; dość kręcić korbą, aby powstała stąd jakaś znośna melodya. Przy innej sposobności wypiszę litanię — krótką zresztą — tych katarynkowo-malarskich ułatwień; dziś ograniczę się na zaznaczeniu, iż największem szczęściem wśród artystycznej braci cieszą się: „przypadek w podróży“ i... „targ w małem miasteczku.“

Rozumie się, że pan Szerner, który po za zaletami czystego kolorytu i poprawnego rysunku nie świetnieje żadnym głębszym talentem, zrobił z „targu“ swego to jedynie, co mógł był zrobić, to jest: malowany komunał.

Największy rozmiarem obraz p. Trębacza, przedstawiający „Samarytanina na puszczy,“ ujawnia jeżeli nie talent, to przynajmniej — pracę. Wobec wyraźnego niemal lekceważenia konkursu przez innych artystów, i ten przymiot z uznaniem podnieść należy. Pan T. malując nagiego nędzarza, naturalnej prawie wielkości, dobrowolnie postawił sobie trudne zadanie i rozwiązał je w sposób wystarczający. Nie jest to tak zwane „studyum akademickie,“ któreby stanowiło popis anatomiczny i modelatorski; znać jednak w tem poważne traktowanie sztuki i opieranie jej nie na „szyku,“ lecz na nauce.

Gdyby nie konwencyonalny ruch „samarytanina,“ który, z wielbłąda zsiadłszy, poi owego łaknącego nędzarza, byłby i on figurą udatną; za wiele w nim jednak wymuszenia, a za mało — wyrazu. Największą wszakże wadę tej kompozycyi, wadą przyćmiewającą niezaprzeczone jej zalety, stanowi koloryt. Artysta, chcąc go pociemnić— zbrudził; a zamierzając przedstawić chwilę poczynającego się dopiero zmroku, zapełnił obraz nieokreślonymi i niejednostajnie rozłożonymi cieniami, które odbierają mu świeżość i wypukłość. Na pustyni nawet noc bywa przezroczystą, chwila zaś, w której na niebie płoną jeszcze blaski dogasającego zachodu, czyni tam atmosferę lekką i przejrzystą jak kryształ.

„Lombard“ pana Lentza jest zamachem na dzieło poważne, oparte na obserwacyi życiowej i obmyśleniu psychologicznem. Ale prócz zamachu, nic się tam nie widzi. Może jedna lub dwie twarze posiadają wyraz właściwy, mówiący coś i jasno określony; reszta to bezmyślne fizyognomie modelów, jakkolwiek wybranych i jakkolwiek ustawionych.

A przytem, nie wiadomo dla czego, artysta poskąpił kompozycyi swej — płótna. Wszystkie postacie stojące uderzają głowami o górną ramę obrazu. Na małej, wąskiej przestrzeni duszą się one, czyniąc na widzu nawet męczące wrażenie. Szczególna to maniera — zapożyczona chyba od rysunków w pismach obrazkowych, kędy

w widokach oszczędności sprowadza się do minimum „niebo“.

A jednak można było stworzyć z tego motywu rzecz doskonałą, godną i konkursowej nagrody i oklasków szerokiego tłumu. W dzisiejszych, trywialnie dramatycznych czasach, gdy instytucye oszczędnościowe stoją pustkami a zastawnicze nie mogą podołać pracy, ta scena z życia, odtwarzana w całej swej wstydliwej grozie, znalazłaby oddźwięk w sercach tysiąców...

Co do pana Romana Kochanowskiego, wielkie nadzieje obudzającego w początkach pejzażysty, mam podejrzenie, iż cierpi na pewną, osobliwą, a jednak przytrafiającą się wadę wzrokową, polegającą na tem, iż wszystko przedstawia mu się w barwie popielatej. Zobaczcie jego konkursowy „Krajobraz“, a przekonacie się, że prócz owej popielatości, pocentkowanej gdzieniegdzie przytłumioną zielenią, nie wchodzą doń żadne inne kolory. Krok jeden tylko dzieli to płótno od robót zwanych *en grisaille.*

Patrząc na odtwarzaną przez tego malarza naszą przyrodę, sądzić by można, że u nas nie rosną kwiaty, nie trafia się czarnoziem i słońce nigdy nie świeci. Wieczny zmrok panuje na jego pejzażach: i to zmrok jakiś dziwny, o którym nie można powiedzieć, czy jest świtem czy zmierzchem, czy przypadł w jesieni, czy też na wiosnę?...

Do rzędu wspomnianych na początku bawidełek należą pastelowo główki pana Rajznera oraz „martwa natura“ pana Wołczaskiego. Na poważnej, konkursowej wystawie drobiazgi takie nie mają żadnej racyi bytu. Niemniej jednak trzeba przyznać, że pastele rozsmarowane są lekko i efektownie a martwa natura wykonana z holendarską akuratnością.

O obrazku Chełmońskiego, zatytułowanym „Dropie“, nie wiem doprawdy co powiedzieć... Zaliczam się do gorących wielbicieli tego śmiałego, dzikiego trochę, ale pełnego ognia i blasku artysty. Do wydatnych znamion jego należy olśniewanie niespodziankami, które tak odważnie burzą ciasne mury artystycznego konwenansu, że w pierwszej chwili wyglądają na łamigłówkę lub... żart. Gdy jednak oko oswoiło się już z nowemi dla siebie formami a wyobraźnia zbratała się z wyobraźnią artysty, żart ów i owa łamigłówka okazuje się prawie zawsze: mistrzowskiem pochwyceniem pewnych właściwości natury, dotąd przez malarstwo niedostrzeganych i niewcielanych.

Otóż wobec „Dropi“, które są również łamigłówką, a może bardziej jeszcze żartem, nastręcza się najpobłażliwszemu krytykowi wątpliwość: czy pod tą dwuznaczną formą kryje się jakaś treść tak świeża, że aż niezrozumiała, czy też wszystko się tam kończy na... żarcie?

Wątpliwość tę powinien jak najprędzej rozstrzygnąć sam artysta — w innej, poważnie traktowanej pracy.

Do czasu ukazania się tej pracy, z sądem o „Dropiach“ wstrzymać się wypada...

O wiele bogatszą i szczęśliwszą okazała się wystawa konkursowa w dziale rzeźbiarstwa.

Klasyczność, z którą rzeźba rozstać się nie chce, czy też nie może... znalazła tu świetny wyraz w wypukłorzeźbie pana Stanisława Lewandowskiego, niedawnego laureata z wystawy wiedeńskiej, obdarzonego i przez naszych sądziów pierwszą nagrodą.

Dzieło pana L. zamknięte w wielkim medalionie i otoczone ramą dębową (pomysł trafny, niepozwalający rozpływać się białej rzeźbie wśród jasnego tła ściany lub drapery) przedstawia „Thetys, błagająca Jowisza za Achillesem.“ Treść pół-boska, pół-bohaterska wyrażona jest w grupie pełnej smaku i harmonii. Modelacya figur bez zarzutu; Thetys zwłaszcza prześliczna. Wszystkie linie tej pięknej grupy tak się zgodnie łączą i splatają, dążąc do jakiegoś typu harmonijnego, że całość czyni prawie wrażenie symfonii muzycznej lub zawikłanego a rozwiązanego szczęśliwie zagadnienia matematycznego.

Drugą nagrodę przyznano bardzo sprawiedliwie panu Rygierowi, który wystawił „Chłopca góralskiego“ wyrzezanego w marmurze kararyjskim oraz odlanego z brązu „Kopernika.“

Oba dzieła należą do najpiękniejszych, na jakie dotąd zdobyła się nasza rzeźba.

Twórca „Tetydy“ i twórca „Kopernika“ stoją na dwóch biegunach przeciwnych. Tamten zwraca się ku nieśmiertelnie pięknej przeszłości, ten bieży naprzód, nęcony zagadkową przyszłością. W „Koperniku“ czuć jakby tchnienie romantyczne...

Zeszłoroczny zwycięzca konkursowy pan Zawiejski wystawił dwa popiersia: ładnej dzieweczki i ślicznego chłopięcia. Chłopię, podobało mu się nazwać „świętym Janem“ i zgodnie z tą etykietą, zarzucić mu na barki skórę oraz umieścić przy nim głowę jagnięcia. Wdzięki, czystość linii i jakaś idealna słodycz promienieją z obu tych marmurowych twarzyczek.

Rzeźba nasza nader obiecująco kiełkuje. Obyż właściwe polskiemu... klimatowi przymrozki w pąku jej nie zwarzyły!

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zła wróżba karnawałowa. — Uratowanie sytuacyi przez „dzielnych wioślarzy.“ — Sala i galerya. — Sznurowanie małych żołądków i przygotowywanie zdolnych przejść przez ucho igielne. — Dwie miary,— Przywilej ideologii. — Zajęczym tropem. — Oryginalny wystawca. — Wzór w kłamstwie. — Przepisy karnawałowe.

Radość bywa echem smutku.

Gdy *Kuryery* doniosły, że na balu Przytuliska było 5, wyraźnie „pięć dam,“ rzetelnemu warszawiakowi duch zamarł w piersi. Przepraszam—można głosować za oszczędnością, ale pięć, a choćby dziesięć dam na balu publicznym w Warszawie, słyszycie — w Warszawie! — to jak zapowiedź strasznej klęski, jak błyskawica oświetlająca nagle rozwartą przepaść, jak uczta Baltazarowa! O czemś podobnem nie słyszałem za mojego życia i nie czytałem w historyi. Przeciwnie, pamiętniki naszych dziadów i pradziadów niezliczoną ilością dowodów stwierdzają ten fakt, że w szczęściu bawimy się, w nieszczęściu także się bawimy, w dobrobycie tańczymy, w niedostatku także tańczymy. Często nawet ochoczość naszych pląsów była w stosunku proporcyonalnym do pustek kieszeni, co jest bardzo naturalnem, gdyż łatwiej skakać z obładowaniem małem i weselić się na koszt cudzy. Pieniądze od lichwiarza pożyczone, albo to zarobek ciężki! To zaledwie owoc pracy użytej na podpisanie swem nazwiskiem kawałka papieru! Nie znam tego zajęcia, ale musi ono być bardzo lekkie. To też odczułem zdziwienie i pewną trwogę całej Warszawy nazajutrz po balu Przytuliska. Wprawdzie choć sala szczyciła się zaledwie kilkoma damami, galerye uginały się pod tłokiem ciekawych, które nie mając odpowiednich toalet własnych, poszły przynajmniej napaść oczy cudzemi i w skąpym ich bukiecie musiały pochłaniać każdą kokardę, każdą falbankę, każdy wachlarz, wprawdzie — mówię — ten łakomy tłum za szybą świadczył, że na dobrych chęciach nie zbywało, ale ostatecznie garstka balowa w porównaniu z tłumem galeryi wyglądała jak kurscetel marek niemieckich obok kurscetlu rubli w krótkich i długich terminach. I zapanowałoby usposobienie pognębiające na giełdzie karnawałowej, gdyby nie wystąpiła z „żądaniem“ najpoważniejsza jej firma — „dzielni wioślarze.“ Ile razy ten bank zapustny uratował sytuacyę, trudno policzyć, zresztą wdzięczna pamięć zna i przechowuje jego zasługi. Nigdy jednak może nie podjął on i nie spełnił szczęśliwiej swego zadania. Po „krachu“ Przytuliska, które zebrało zaledwie kilka par do kontredansa, wystawić 200 — to się nazywa umieć zwyciężać, nietylko na wodzie, ale i na lądzie. Od chwili tego tryumfu papiery karnawałowe podskoczyły nadzwyczajnie — bale, panieński, kawalerski, inżenierski, obywatelski, francuski itd. przekonały lub przekonają, że „biały mazur“ nie jest już legendą nadwiślańską, ale rzeczywistem powitaniem wschodzącego w zimie słońca.

Na przyszłe zabawy zamawiam galerye dla urzędników kolei warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej. Zarząd tych dróg spostrzegłszy teraz dopiero, że kasa emerytalna może być z czasem niewypłacalną, akcyonaryusze zaś nie mają żadnej ochoty zasilania jej okruchami swego stołu, postanowił okroić swym pracownikom prawa do emerytury, daleko mniej uzasadnione, niż przywileje dywidendy. Przez trzy dni obradowano nad sposobami zesznurowania małych żołądków i przygotowania bohaterów zdolnych przejść do królestwa niebieskiego przez ucho igielne. Że oni, wbrew radzie ewangelicznej, chcą być małymi wielbłądami bodaj z jednym garbem — tego im za złe brać nie można. Ale co począć, jeśli akcyonaryusze mają ten sam gust i pragną mieć tyle garbów, ile na ich plecach się zmieści? Gdybym przypomniał opowieść o tłustym połciu — najsłuszniej okrzyczanoby mnie burzycielem porządku społecznego. Boć istotnie należy do owego porządku dywidenda i możność zakreślania jej granic dowolnych. Etyka nasza ma dwie miary, które szczęśliwsi ode mnie socyologowie umieją jakoś godzić i zamieniać, a których ja często w żaden sposób skojarzyć nie potrafię. Po jednej stronie stoi zimny wierzyciel z kwitem, na którym ma wyraźnie i własnoręcznie wypisane przez dłużnika zobowiązanie zwrotu pożyczki w oznaczonym terminie i z określonym procentem; po drugiej stronie biedak, co na pokrycie długu musi sprzedać nawet włosy swych córek; który z nich zasługuje na opiekę prawa? Wierzyciel, bo jeśli ulegniemy czułości i nie uznamy jego pretensyi, postawimy zasadę, podrywającą wszelkie stosunki kredytowe. Jeżeli znowu utrzymamy w całej sile moc zobowiązań, popełnimy okrucieństwo moralne. Niedaleko od tego przykładu stoi sprawa kolejowej kasy emerytalnej. Akcyonaryusze odmawiają ofiary na korzyść urzędników, ci znowu zasłaniają się niemożnością ubezpieczenia swej starości — kto ma słuszność? Dacie głos prawu— zacznie ono obierać ludzi jak cebulę, dacie głos miłosierdziu — wywróci się rusztowanie społeczne. No, nie wywróci się. Jest to szacowny przywilej ideologii, że ona rozbrzmiewa i ginie na puszczy. Można bez skrupułu karcić sytych za nielitość względem głodnych, bo pierwsi, jeśli się uprą, nawet tego w usta drugich nie włożą, co z zębów sobie wydłubią. Tego rodzaju kazania są niewinną i dla nikogo nie szkodliwą zabawką, która mniej wpływa na bieg spraw ludzkich, niż skubane i puszczane z wodą płatki kwiatowe strapionych kochanek na bieg rzeki. Kto chce radzić praktycznie i być słuchanym, niech powie: czy urzędnicy powinni na rzecz emerytury płacić 6, 10, 12 lub 15%, czy mają utracić 5 lub 9 lat wysłużonych, czy należy opodatkować gratyfikacye itp. — ale wszystkie pomysły muszą się odbijać od korzyści akcyonaryuszów, jak groch od muru. O tem ani słowa, bo inaczej posiadacz akcyj kolejowych z Amsterdamu lub Berlina zapyta:

— A co mnie obchodzi cała ta wasza czereda, służąca na drogach wiedeńskiej i bydgoskiej? Niezadowoleni, niech idą do... Znajdziemy na ich miejsce więcej niż potrzeba.

I prawda.

Smutek bywa także echem radości.

Ile razy spotkam jakiś dobry pomysł i uśmiecham się do niego wesoło, on zawsze robi tragiczną minę i mówi: „ach! te moje dzieci, moje dzieci!“ Biedny ojciec narzeka, że będzie jak owad płodny i że jego potomstwo swoją liczebnością i podobieństwem obrzydzi ogółowi przodka. Począwszy od jednodniówek dobroczynnych i konkursów, a skończywszy na chlebach wiejskich i dystrybucyach, życie nasze jest mennicą, odbijającą ciągle wizerunki ekonomiczne i literackie według kilku szczęśliwie pomyślanych wzorów. Jeżeli ktoś zwiąże bukieciki fijołków łyczkiem kukurydzy i sprzeda ich wiele, można być pewnym, że wszystka kukurydza w kraju będzie odarta z włókien do wiązania fijołków. Każdy z nas patrzy na innych i śledzi, co im się udaje, a dostrzegłszy — natychmiast robi to samo. To jest najogólniejsze prawo naszego postępu materyalnego i duchowego, który ma tę szczególną własność, że wkrótce nadmiernem współzawodnictwem każde pole pracy wyczerpuje i opuszcza. Przed kilkunastu laty wszyscy chcieli wydawać, a wielu wydało encyklopedyę; dzięki temu nie mamy i długo mieć nie będziemy ani jednej porządnej encyklopedyi, nawet takiej, jaką w Niemczech każdy kupuje sobie za 3 marki. Rzecz dziwna, naród, który tak długo żył wyobraźnią i posiadał tak bogatą, dziś nie może się zdobyć na najprostszą oryginalność.

Pod koniec roku zeszłego wpadliśmy w zamiłowanie do wystaw. Zamiłowanie bardzo chwalebne, ale nie w zającach, lubiących chodzić temi samemi ścieżkami. Obecnie np. mamy wystawy: ornamentacyjną, mieszkalną, dekoracyjną, a wkrótce przybędzie czwarta do tych podobna, wystawa bronzów i dekoracyj starożytnych. Ktoś to nazwał czterema grzybami w jednym barszczu. Niewątpliwie. Szkoda pracy, zabiegów i nakładów zbyt nagromadzonych w jednym kierunku, a nadewszystko sił na rozwijanie instynktów do strzeżenia zajęczych tropów.

Jeden wszakże z wystawców w Muzeum zdobył się na krok oryginalny, mianowicie zmyślił i opowiedział sprawozdawcom powtórzoną w pismach bajkę, że pod Kutnem stworzył z żywiołów włościańskich samorodny i rozgałęziony przemysł tkacki i farbiarski, którego świetne owoce właśnie zdumionym pokazał. Obsypano bohatera kwiatami i niewiele brakło, ażeby jego szlachetna fizyognomia ukazała się w ilustracyach. I mielibyśmy jednego więcej „naszego znanego,“ gdyby ktoś nie szepnął, a osobna komisya na miejscu nie sprawdziła, że wszystko to jest wierutnem kłamstwem, a sam bohater „naszym znanym ekonomistą.“ Bezeceny ten czyn — według jednego z *Kuryerów* — „rumieni nam czoło, oburza sumienie publiczne.“ Za wiele zgrozy. Gdyby „sumienie publiczne“ chciało się oburzać każdym okpiszem, nic wychodziłoby nigdy ze stanu odrazy. Nadto z obecnego wypadku można wycisnąć kropelkę korzyści. Ów zdemaskowany twórca przemysłu kutnowskiego okłamał wystawę i publiczność, ale wskazał. co powinniby zrobić lepsi i rzetelniejsi od niego, dał wzór dla starań uczciwych i poważnych. Wyobraźmy sobie tylko, jak by to było dobrze i pożytecznie, gdyby owe wszystkie łgarstwa stały się prawdą! Opowiedziano nam bajkę całkiem zmyśloną, ale bajkę ładną, zawierającą wiele myśli oryginalnych. Teraz zamiast się oburzać na pływaka po piasku, sprobujmy urzeczywistnić jego kłamstwo. Będzie to najszlachetniejsza kara dla niego, a największe zadowolenie dla nas.

Ale wracam do tego, co dziś jest główną rozkoszą lub marzeniem — do karnawału. Otóż dr Klemens Bąkowski ogłosił (w *Czasie*) ustawy „państwa głupców,“ prawne i zwyczajowe, które, jakkolwiek odnoszą się do Austryi i Galicyi, mogą się przydać i nam, pozbawionym odpowiedniego kodeksu. Najważniejsze i najciekawsze są „paragrafy,“ wyjęte z rozprawy d-ra K. T., zamieszczonej w *Juristische Jahrbücher*, „O kontrakcie tańcowym“ — według prawa rzymskiego i obecnego. Słuchajcie:

„Już naród rzymski znał i lubił taniec. Cajus uważa zaproszenie za kontrakt literalny, *qui inscriptione fit in tabulis* (*codicibus*, wedle Varrona), przez co rozumieć należy wpis w „książeczkę tańców.“

Także kobiety mogą zawierać ten kontrakt; pełnoletność nie jest wymaganą, przeciwnie, im więcej pełnoletnią jest dama, tem trudniej kontrakt przychodzi do skutku.

Małoletnie panny potrzebują zezwolenia rodziców, którego ci mogą odmówić z ważnych powodów, jakimi są: brak dostatecznego utrzymania, dowiedzione lub notorycznie znane złe obyczaje itp. tego, z którym ma córka tańczyć.

Zakonni obojej płci i skazani na ciężkie więzienie, są niezdolnymi do zawarcia kontraktu tańcowego. (Natomiast księża świeccy, a zwłaszcza szanowni *abbés* mają do niego prawo, o ile im sutanna nie przeszkadza. *Przyp. Red.*).

Ponieważ ustawa cywilna nie zna dziś zobowiązań ściśle cywilnych, przeto i wojskowi mogą ten kontrakt zawierać.

Kto podstępnie udaje, że jest zdolnym do tańca, obowiązanym jest do zadośćuczynienia; jeżeli jednak te braki były damie wiadome, to niema ewikcyi.

Tłuści tancerze liczą się do nieruchomości.

Zawarcie kontraktu angażowania jest tylko *inter nobiles* formalnością, u plebejuszów zaś pozbawione wszelkiej formalności; może przyjść do skutku między obecnymi lub przyszłymi.

Z angażowania powstają tylko osobiste prawa i obowiązki, które ani między żyjącymi, ani aktem na przypadek śmierci, ani na dziedzica przeniesione być nie mogą.

Z rozpoczęciem tańca przychodzi na tancerza *periculum*, który też zaciąga tylko obowiązki, żadnych praw. Musi dbać o utrzymanie tancerki, nie będąc uprawnionym do roszczenia sobie prawa do wzajemności w tym względzie; musi dokładać pilności doświadczonego ojca famili, ale lepiej od niego tańczyć.

Każdy mieszkaniec państwa uprawnionym jest do zawłaszczenia nieangażowanej damy. Do nabycia znakomitej tancerki potrzeba ważnego tytułu i godziwego sposobu nabycia (§ 380 kod. cyw.).

Bardzo często kontrakt ten poprzedza kontrakt małżeński, poczem tancerka przechodzi pod *manus* (władzę) tancerza, a tancerz pod *manus* teściowej.

Między małżonkami kontrakt tańcowy rzadko do skutku przychodzi, a do swej ważności nie potrzebuje aktu notaryalnego.

Niedozwolonym jest kontrakt tańcowy z prawem oczekiwania lepszego tancerza.

Jeżeli dama przez cały wieczór nie jest angażowaną, nazywamy to zasiedzeniem. Do tego potrzeba *longum tempus* i *bonam fidem*, tj. dobrej wiary, że jeszcze tancerz się trafi. *Bona fides* musi zachodzić przez cały czas zasiedzenia, gdy w innych aktach prawnych wymaganą jest dobra wiara tylko na początku. Jeżeli zasiedzenie trwa przez kilka lat, to następuje przedawnienie damy.

Gaśnie kontrakt tańcowy: a) przez skończenie się tury, b) przez obopólne zrzeczenie się.“

U nas kodeks taki powinna ułożyć szan. p. Lucyna C., gdyż 1) umie doskonale tworzyć wszelkie praktyczne przepisy, a 2) największy budzi zachwyt śród literatów warszawskich, od których poparcia przyjęcie takiego kodeksu zależy.

Poseł Prawdy.

CUDZE GŁOSY.

Kuryer Warszawski zamieszcza sprawozdanie pruskiej komisyi kolonizacyjnej, nabywającej ziemię polską dla osadników niemieckich, w czem jej „obywatele“ nasi tak skuteczną okazują pomoc.

Zakupione do końca r. 1886-go na cele kolonizacyjne dobra obejmują 22 samoistnych majątków, w tej liczbie 19 wielkich posiadłości i trzy gospodarstwa z zabudowaniami, inwentarzem i zapasem zboża.

Z tej liczby przypada na rejencyę kwidzyńską 4637,45,48 hektarów za cenę kupna 2.427,200 marek; na rejencyę poznańską 1659,37,30 hekt. za cenę 1.071.000 marek; na rejencyę bydgoską 5433,17,46 hektarów za cenę 3.174.000 marek; na ten ostatni powiat przypadają również owe trzy samoistne gospodarstwa liczące 110,84,10 hekt., a nabyte za cenę 88,845 marek.

Do końca roku 1886-go nabyto przeto 11,730.00,24 hektarow ziemi tz. szlacheckiej (*Ritter güter*) za cenę zbiorową 6,672,900 marek. a oprócz tego 110,84,10 hektarów obszaru inne, kategoryi za cenę 88,845 marek.

Memoryał twierdzi dalej, że komisya otrzymała już ze wszystkich stron Niemiec, z Rosyi, Austryi, nawet z Ameryki liczne zgłoszenia się stron prywatnych o uzyskanie pozycyi kolonizacyjnych. Do pozycyi poniżej 50 hektarów zgłosiło się 421 konkurentów o przeciętnym majątku rozporządzalnym 3306.76 marek; do pozycyi powyżej 50 hektarów 407 nabywców o majątku przeciętnym 14321,81 marek. Z zagranicy zgłosiło się 49 konkurentów z przeciętnym majątkiem 5673,46 marek.

Co do organizacyi zarządu nabytych dóbr i gospodarstw, komisya zamyśla trzymać się form najprostszych, unikając wszelkich nakładów kosztownych. Przegląd obrotu finansowego w zarządzie nabytych majątków do końca r. 1886-go nie dał się zestawić. Prawdopodobnie czysty docbód w początkach będzie bardzo skromnym, przeważnie okazują się nawet niedobory, ponieważ większa część dóbr nabytych znajdowała się w opłakanym stanie gospodarczym; prawie wszędzie brakowało zapasów zbożowych.

Nabytki poczynione przeważnie w powiatach o ludności mieszanej, a to celem przysporzenia przewagi narodowości niemieckiej. Zakupna odbywać się mają nadal także w przeważnie w niemieckich powiatach, jeżeli chodzić będzie o to, aby własność niemiecką ocalić od przejścia w ręce polskie. W powiatach wyłącznie polskich nabywane będą większe kompleksa dóbr lub pojedyńcze majątki obok siebie leżące, lub wreszcie takie, które sąsiadują z istniejącemi już tu i owdzie gminami niemieckiemi.

Dla skolonizowania większych posiadłości obranym będzie system podwójny: jedne dobra zostaną powierzone komisyi do rozparcelowania wedle obranego samoistnie planu, inne zaś, poddane przedewszystkiem dokładnym pomiarom i oszacowaniom, a dopiero po należytem zbadaniu siły i natury produkcyjności miejscowej, zostaną rozpoczęte układy z pojedyńczymi nabywcami o wydzielić się mające parcele.

Odpowiednie zarządzenia zapobiedz mają nieopatrznym chętkom dalszego nieekonomicznego parcelowania ziemi lub też zakupom w celach czysto spekulacyjnych i t. d. Kolonicî muszą wykazać odpowiednie środki do prowadzenia trwałego i prawidłowego gospodarstwa.

W razie czasowego wydzierżawiania ziemi, komisya starać się będzie o to, aby dzierżawcom już przy zawieraniu kontraktu dzierżawnego zabezpieczyć nabycie ziemi w przyszłości. Przy oznaczaniu wielkości wydzielać się mających parceli powinna być przestrzeganą pierwotna dążność ustawy: wytworzenie w prowincyach polskich zasobnego stanu włościańskiego i osiadłej na roli warstwy robotniczej narodowości niemieckiej. W ogóle mają być tworzone gospodarstwa, mogące utrzymać jednego konia lub dwa woły.

Komisya dołoży wszelkich starań, aby parcele powierzane nabywcom ubezpieczyć należycie przed skutkami złego gospodarstwa lub zmiennych postanowień tychże, tak aby powrót ziemi do rąk polskich okazał się w przyszłości wprost niemożliwym.

Komisya nie miała dotąd czasu dojść do praktycznych postanowień co do sposobu najkorzystniejszego obrócenia nabytych dóbr na cele kolonizacyjne. Praca jej obejmuje zaledwo 4½ miesiące. Próbę uczyniono wszelako w powiecie złotowskim, w dobrach Dolnik i Paruszka, układając się z większą liczbą konkurentów. Dojście do skutku umów o powierzenie im odpowiednich parceli spodziewanem jest na wiosnę.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Prezesem warsz. Izby sądowej w miejsce p. Trachimowskiego, mianowany został p. Butowskij.

Wystawa odzieży i sprzętów w Muzeum zamkniętą została.

Oddział komory celnej ma być urządzony na warszawskiej stacyi kolei Nadwiślańskiej.

Wytrwali! W jednym z domów prywatnych zawzięci czciciele karnawału tańczyli przez całą dobę. Ci chyba biedy nie czują.

Władze lekarskie orzekły, iż w wypadkach chorób zakaźnych młodzież może wrócić do szkoły po błonicy w dwa tygodnie od wyzdrowienia, po szkarlatynie w 5, po ospie w dni 18.

W uniwersytecie dziekanem wydziału prawnego obrany został prof. W. Holewiński, a filologicznego p. Budiłowicz.

Na Osady rolne mieć będą wykłady publiczne: pp, Tomaszewicz-Dobrska „O zdolności indywidualnej do szczęścia,“ F. Kucharzewski „Sławni garncarze,“ W. Rapacki „Trzy doby naszej sceny,“ S. Wydżga „Słówko o kwestyi żydowskiej.“ K. Zagórski „Oko i malarstwo,“ G. Roszkowski „O towarzystwach Czerwonego Krzyża,“ J. Święcicki „O teatrze hiszpańskim.“

Perpetuum mobile. Dumas napisał nową komedyę p. t. *Francillon.* Jaka treść? Naturalnie wiarołomstwo.

Na zjeździe psychiatrów w Moskwie dr. Rothe przedstawił historyę i stan lecznictwa chorób umysłowych w Polsce. Przybliżenie w Królestwie znajduje się 7,500 obłąkanych, a tylko 1 na 14 znajduje przytułek w szpitalach.

Jeszcze raz polak z Ameryki ostrzega w *Gaz. warsz.* rodaków, ażeby nie łudzili się nadzieją łatwego tam zarobku i nie spadali w otchłań nędzy bez ratunku.

Tępienie kuropatw przez chłopów na zmarzłej skorupie śnieżnej odbywa się i tej zimy — jak donoszą pisma — wszędzie. Czy też nigdy u nas nie będzie na to kary?

W Łodzi grasuje i setki ofiar zabiera ospa, pielęgnowana przez nieporządek i brudy miejskie.

Pomnik dla T. Kościuszki ma stanąć w Chicago.

Lekarki na uniwersytecie paryskim przedstawiają według narodowości: 83 polek i rosyanek, 11 angielek 7 francuzek, 3 amerykanki, 2 austryaczki (?), 1 rumunka i 1 turczynka.

Towarzystwo akcyjne dla dobywania marmurów kieleckich zostało zatwierdzone. Założycielami są A. Retan, J. Kokeli i A. Wolke. Kapitał 250,000 rs.

Konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w tym roku chybił. W malarstwie nagrody pieniężnej nie przyznano nikomu, w rzeźbie 150 rs. p. Lewandowskiemu za płaskorzeźbę, a 75 rs. Ryglerowi za posążek Kopernika.

Wystawa obrazów Brandta została już uzupełniona.

Tygodnik powszechny zaczął wychodzić pod redakcyą p. W. Czajewskiego. Ma on głównie uwzględniać historyę sztuki.

Szkoła gimnastyczna dla małych dzieci została założona przy ulicy Chmielnej. Ma ona również na celu rozwijanie umysłowe za pomocą kształcenia fizycznego i gier pouczających a przedstawia podobieństwo do ogródków Freblowskich. Kierowniczką jest p. M. Weryho.

Bibliografia. K. Sosnowski *Magnetyzm a hypnotyzm*, dawniejsze i współczesne w tym kierunku badania, oraz poddawanie myślą w stanie hypnotycznym i na jawie — str. 74, Warszawa.

— M. Borucki: *Ziemia Kujawska*, zeszyty 9, 10, 11 i 12.

— T. M. Sęczkowski: *Janina*, fragmenty historyczne z czasów panowania J. Kazimierza, M. Korybuta i J. Sobieskiego — str. 32, Warszawa.

Pomnikowej pracy K. Estreichera *Bibliografii* (XVIII w.) wyszły tomu IX zeszyty 3 i 4, Kraków.

Zmarł Teofil Borzęcki, ceniony nauczyciel.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. P. Są to wiersze bez poezyi, w której rymy nie są pierwiastkiem jedynym, a nawet głównym.

P. W. R. w Kam. St. Adresu tego pisma nie znamy, listu poprzedniego z takiem pytaniem nie odebraliśmy.

Prenumeratorowi. Murraya, nakład Paprockiego.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów: Antoni Dąbrowski z Łukowa rs. 3 k. 70.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Января 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.